

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 15 MARCA 1930 ROKU

NR. 11

TREŚĆ NUMERU: Matki morza — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Ciąg na morze — *Jadwiga Krawczyńska*. Poezje: Z cyklu „Pacific”: „Nautilus”, „O wędrującej górze lodowej” — *M. Lisiewicz*. Zadośćuczynienie — *Hanna Mortkowiczówna*. Morze i nauczycielka z Głuchowa — *E. Szelburg*. Na błękitnej reducie — *M. H. Szpyrkówna*. Morze w literaturze polskiej — *S. P. O.* Morze i sztuka — *I. J. Z* książek. Czego oczekuje od nas morze — *Wanda Dobrzańska*. Morze na ekranie *Stef. H.* Kobieta w świecie i w domu. Śledź — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Koło studjów gospodarstwa domowego — *M. A.* Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Kapelusze wiosenne — *Well*. Dodatek powieściowy: „Hanumica” — *Werka Szkurla-Ilijicz* — przełożyła *T. Krajewska*. Tablica kroju.

MATKI MORZA

Przez cały miesiąc ciągnęły się uroczyste obchody w stolicy i miastach pomorskich, związane z dzieścioleciem przyłączenia do Polski Pomorza i wybrzeża Bałtyku. Akademje, pochody, bankiety znały triumfalny pochód polskiej idei państwowej. Powiewały sztandary, grzmiały salwy i wiwaty, syreny okrętowe rozdzierały ciszę morską rykiem radości, biły dzwony na wieżach kościelnych i łomotały serca w piersiach ludzkich, padały słowa ważne, jak spiz, i mocne, jak przysięga.

Ale w tej nawale mów i toastów, w których składano hołd poległym i zmarłym, należne uznanie żywym, a nadzieję na przyszłość w ręce potomnych, nikt nie wspominał o cichej współtwórczyni naszej morskiej rzeczywistości, o tej, która przez długie wieki była matką rycerzy, która podczas wojen o niepodległość umiała być matką bohaterów i męczenników, a która teraz, w okresie pracy pokojowej, pracy państwowo - twórczej, powinna stać się matką morza.

Nie mamy danych na stwierdzenie, o ile kobieta polska — ściślej mówiąc, kobieta kaszubska — przyczyniła się, nie do odzyskania przez Polskę wybrzeża, ale do utrzymania na niem śladów polskości. Ona, ta biedna, szara, zaharowana od świtu do nocy, nikomu nieznana i o świecie dalekim nie wiedząca, bezimienna rybaczką kaszubska. Cóż ona mogła zrobić więcej ponad to, co robiła, z nawyku raczej, z tradycji, z obyczaju, przekazywanego razem z chałupą i ze sprzętem rybackim z pokolenia na pokolenie, ucząc swe dzieci polskiego pacierza, rozmawiając z nimi gwara kaszubską, uparcie broniącą się przed zalewem niemieczyzny. Trwała i przetrwała, jak tyle matek pol-

skich na Kresach wschodnich i zachodnich, na wygnaniu, czy na emigracji. To jej niewątpliwa i wielkopomna zasługa, karta historii zapisana i zamknięta, to jest przeszłość.

Chwila bieżąca niesie nowe zadania, otwiera nowe pola działalności już nietylko przed garstką wytrwałych kaszubek, ale przed milionami polskich kobiet z całego kraju, przed tą rzeszą, trawioną głodem pracy społecznej, rzeszą, która w imię tego głodu i pod nakazem obowiązku obywatelskiego umiała zespolić się niejednokrotnie w karną armję, zrosnąć się w olbrzyma o milionach ramion, skupić w mrowisko, wysiłkiem zbiorowym przenoszące góry. Skromna kaszubska rybaczką, dziedziczka jałowych mierzei i lotnych piasków wybrzeża, władczyńi nieopasanych żadną granicą morskich przestrzeni, wyprawiająca co noc synów swoich na połów — ta postać szara, powszednia, bezimienna, urasta dziś do miary potężnego symbolu matki morza.

Najważniejsza rzecz jest już dokonana. Rozbudowa Gdyni, portu i miasta, plon dziesięcioletniego gigantycznego wysiłku, stał się faktem. Ale na tem nie wolno nam się zatrzymać. Trzeba, aby ten skrawek wybrzeża, materialnie i prawnie nam przynależny, stał się moralnie naszą ojcowizną. Abyśmy się czuli z nim związani organicznie, abyśmy potrzebowali go, jak płuc do oddechu, abyśmy nietylko publicznie i w teorii, nietylko na pokaz i od święta, ale na dzień powszedni, osobiście, prywatnie, bezpośrednio byli zainteresowani jego losem, zaangażowani w jego posiadanie.

Spójrzmy na żywiołowy pęd do morza u narodów, które wybrzeża morskiego nie posiadają. Bierz-

my przykład z sąsiadów naszych i pobratymców, z Czechów, pod względem organizacji niewątpliwie najwyżej stojących w wielkiej rodzinie słowiańskiej. Jakże radzą sobie z brakiem morza? W bardzo prosty sposób: oto systematycznie, planowo wykupują działki na adriatyckim wybrzeżu Dalmacji.

Są tam już miejscowości nadmorskie, np. Kupari, gdzie wszystkie hotele, pensjonaty, wille są w rękach czeskich. Ten stan posiadania co rok się rozrasta. Kapitałiści prywatni, konsorcja, instytucje, stowarzyszenia społeczne i filantropijne budują sobie osiedla, zakłady, kolonje letnie dla dzieci słabowitych. Dziś już w Dalmacji czesi czują się, jak u siebie w domu.

A my? czy na naszym własnym, od wieków nam przynależnym, tyle razy krwią naszą okupionym wybrzeżu nie czujemy się zawsze jakby gośćmi? Przelotne jaskółki z nas, wijące jednodniowe gniazda nad Bałtykiem. Prawda, istnieją pionierzy i entuzjaści wybrzeża, ale garstka to nieliczna wobec obojętności mas.

I tu właśnie otwiera się dla kobiety polskiej pole propagandy. Teren niesłuchanie dla niej odpowiedni, bo wymagający intuicji, szybkiej orientacji, talentów towarzyskich, sztuki życia, daru przekonywania, znajomości tych wszystkich sprężyn i sprężynek, w których poruszaniu kobieta nasza jest tak biegłą, że jej tego przedstawicielki innych nacji zazdroszczą. Te, martwe nieraz, albo w smętnym bezruchu wegetujące kapitały przedsiębiorczości należy czempredziej uruchomić w akcji zdobywania, tak! zdobywania naszego wybrzeża, które jest ciągle jeszcze „ziemią obiecaną“ dla szerokich mas. Zbytecznym jest chyba dodawać, że taki zdynamizowany kapitał zacznie ze wszech stron obrastać procentami i to nie tylko moralnej natury. Ale kampanja musi być planowa, systematyczna, jednolita na całym froncie, bez szczerb, luk i załamania.

O poszczególnych odcinkach tego frontu, o placówkach specjalnie kobiecych mówi się w następnych artykułach — pragnęłabym na tem miejscu zwrócić uwagę naszych czytelniczek jeszcze na jeden moment bardzo ważny, jeżeli chodzi o rzutowanie w przyszłość dalszych perspektyw zarówno w czasie, jak w przestrzeni. Wybrzeże może należeć do kobiet, ale morze należy zawsze do żeglarza. I tu tkwi węzeł zagadnienia, w naszych rasowych skłonnościach, w naszych tradycyjnych upodobaniach i predyspozycjach.

Byliśmy zawsze narodem typowo lądowym, narodem jeźdźców. Mówiono, że polak rodzi się na koniu. Ale woda, ten żywioł flisaczy, była w powszechnej pogardzie, morze w zaniedbaniu.

Oprócz Jana z Kolna nie mamy się kim tak bardzo w tej dziedzinie poszczycić. Dawna Rzeczpospolita nie wychowała typu polskiego zdobywcy oceanu, czy poprostu polskiego żeglarza. Tem mniej miała szans w tym kierunku Polska poroźbiorowa. Szkolnictwo państw zaborczych omijało ostrożnie

niebezpieczeństwo sportów wogóle, a sportu wodnego w szczególności. Rzadkością był wioślarz, unikatem dobry pływak, a o takich, którzyby umieli kierować żaglówką, nie słyszało się wcale.

Zdarzały się jednostki o silniejszej woli i prawdziwym powołaniu, które umiały zwalczyć górę przesądów najbliższego otoczenia i szły do obcej szkoły marynarskiej, lub na pokład cudzoziemskiego okrętu. Z takich to pionierów, wyćwiczonych i zahartowanych w obcej służbie, rekrutowali się organizatorzy polskiej floty. Pod ich kierunkiem wzrasta dziś młode pokolenie naszych marynarzy, w środowisku o ileż bardziej sprzyjającym rozwojowi ich zdolności, niż wroga atmosfera obcej służby.

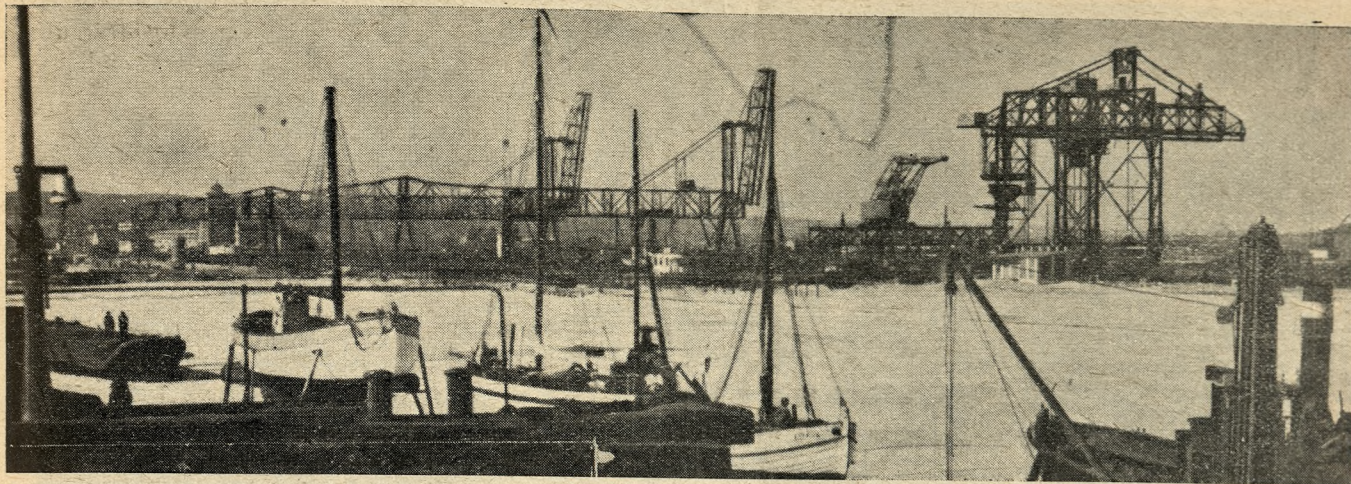
Przed laty Conrad na tę twardą służbę uniósł w potajemnej ucieczce swą wielką żądzę życia, przygód i wolności, której groziła powolna śmierć w domu niewoli i żałoby. Dziś nasza młodzież już do tak rozpaczliwych kroków nie jest zmuszona. Ma możność wolnego wyboru. Ale ten wybór może być poparty, lub zdyskredytowany zbiorową sugestją ogółu. Panuje wśród nas jeszcze owczy pęd do inteligenckich zawodów lądowych. Woda przestała już wprawdzie u nas być żywiołem nieznanym, nieopanowanym, ale traktuje się ją zawsze raczej sportowo.

Wzbudzić entuzjazm do ekspansji morskiej, zaszcześcić go niejako w krew swoich dzieci, oto obowiązek dzisiejszych matek polskich, matek przyszłych zdobywców oceanu. Nie chodzi nam bynajmniej o to, żeby siłą przerobić polaków na naród żeglarzy. Nie wymaga tego od nas ani nasze położenie terytorjalne, ani ustrój wewnętrzny. Nie jesteśmy ani Anglią, ani Holandją. Zamiast otwartych na przestrzał wrót mamy tylko wąskie okienko na morze. Ale tem okienkiem, jak szparą skarbonki, płynąć mogą do nas miliony. Nie powinniśmy nigdy zapominać, że przyszłość nasza nierozzerwalnie związana jest z morzem.

I tu nasuwa się myśl pewna, tak łatwa do urzeczywistnienia. Istniała podczas wojny instytucja „chrzestnych matek“. Wiemy, jak nieocenione oddała usługi dla podtrzymania ducha żołnierzy podczas służby frontowej. Nastaly czasy pokoju, ale nasz front morski ciągle jest czynny, ciągle jest zagrożony. Społeczeństwo dało wyraz swemu zainteresowaniu sprawą morską, przez założenie „Ligi morskiej i rzecznej“, współpracującej z rządem. Czy nie należałoby przy niej stworzyć sekcji kobiecej, sekcji „matek morza“? sekcji nie od płacenia składek i gadania na posiedzeniach, ale sekcji żywej, mocno związanej z rzeczywistością, sprężystości zorganizowanej, pełnej świeżości w pomysłach, karność i entuzjazmu w pracy. Byłby to doskonały organ propagandowy i wykonawczy.

„Matki morza“, rzesze kobiet — bo niewątpliwie ambicją każdej polki byłoby mieć prawo przyznać się do takiego macierzyństwa — czyż to nie potęga? Pomyślmy i stwórzmy tę potęgę.

Stefania Podhorska-Okolów.



Port w Gdyni

JADWIGA KRAWCZYŃSKA.

CIĄG NA MORZE

Do morza od czasów, jak sięga pamięć o polskim władztwie na ziemiach nadwiślanych, do morza ciągnęły siły twórcze Polski. Nieustanne, krwawe prawowanie się piastowskich Bolesławów z książętami pomorskimi, walki, najazdy, zdrady łupieskie pomorzan — o cóż szły, jeśli nie o dostęp do morza?

Łokietkowe zmagania się z Krzyżakami też na celu miały zdobycie brzegu morskiego, a pierwszy wielki król-gospodarz, Kazimierz, nie mogąc orężem, gospodarczymi drogami przygotowywał opanowanie Pomorza, organizując planowo i mądrze spław zboża i towarów na Wiśle do Gdańska. Wisłą i jej flotyllą handlową, galarami i skutami przyuczał lądowe plemię polskie do wypuszczania się na drogi wodne, z myślą o dalszych wyprawach — o morzu.

Gdy od Jagiellończyka Pomorze znowu do Polski przywarło — najdzielniejsi królowie do morza kierowali siły narodowe. Zygmunt August, Batory, Władysław IV... Na przeszkodzie ich dalekowzrocznym zamierzeniom gospodarczo-politycznym stały obkurantyzm szlachecki. Polskie fortyfikacje nad Bałtykiem, zbudowane przez Władysława IV, wkrótce się rozpadły, a sentyment, jaki dla wybrzeża żywił król Sobieski, pozostawił już tylko ślad w legendzie o sadzonych ręką królewską dębach alei w Rzucewie.

Niepodległa Polska na 130-kilometrowej linii wybrzeża Bałtyku, przyznanej traktatem wersalskim, przejęła ubożuchne wsie rybackie z ludnością, która o polskość mało wiedziała, przyjmując obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej.

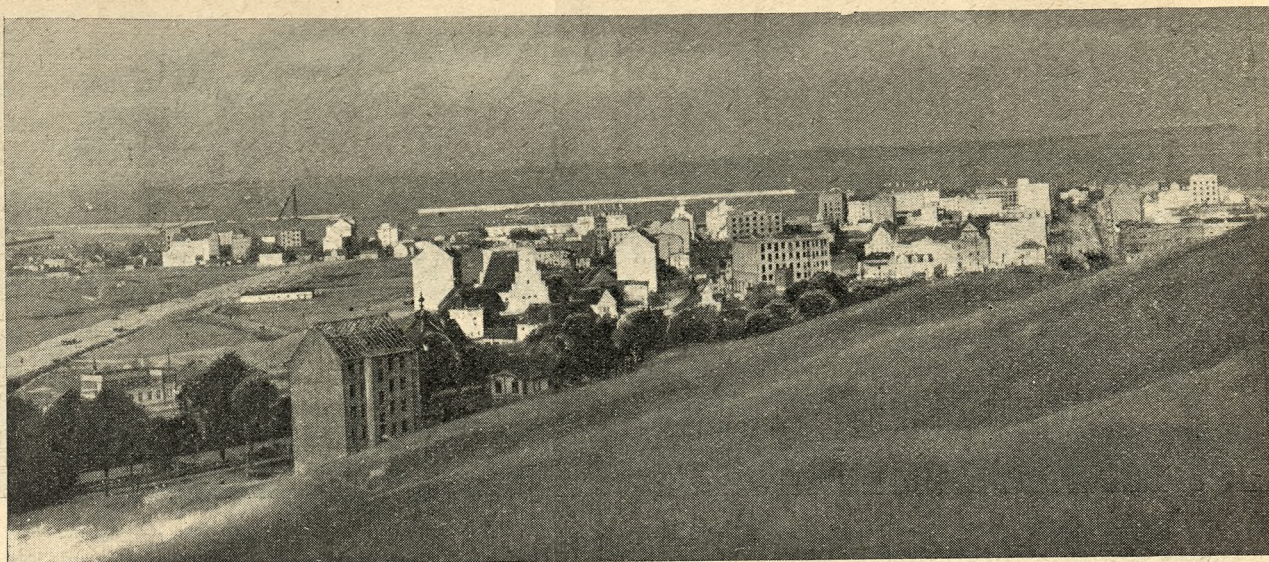
Przeznaczeniom polskim nad Bałtykiem na poprzek stawał rozrosły, zawsze butny i w swą potęgę handlową zbrojny Gdańsk — Wolne Miasto pod opieką Ligi Narodów.

Lecz uparta, mądra, wierząca była już wiara Nowej, Odrodzonej Polski, niezłomne dążenia przebudzonego Narodu — do morza!

Oto dziesięć lat minęło — data uroczystie teraz uczczona — odkąd najbardziej przewidujący i wytrwali obywatele zaprzęgli się do różnorodnych prac na Pomorzu. Organizowanie handlu zamorskiego przez Gdańsk i zapomocą Gdańska pochłonęło dużo wysiłków i spowodowało mnóstwo zawodów — cywilizowanie wybrzeża, skrajnie zaniedbanego przez Prusy, było istotną pracą u podstaw. Budowanie szkoły, by uciskany i wynarodawiany poprzednio kaszubom zapewnić dla ich dzieci własną, kaszubsko-polską, naukę; pomoc dla rybaków helskich, biedoty, gnębionej gospodarczo przez silnych sąsiadów, gdańszczan... niemałe było i jeszcze nie ze wszystkim dopełnione powołanie polskich czynników na skrawku ubogiego Pomorza.

A że Pomorze — ów mały brzeg Bałtyku — zakwitło, że ma dziś coraz zamożniejszą, szczerze zadowoloną, patriotyczną ludność, że spokojne osady rybackie zamieniają się w tętniące życiem ośrodki handlu i żeglugi — to napawa dumą i radością całą Polskę. Bo, jak w mało której sprawie, zrozumienie i jednogłośnie popieranie naszej gospodarki nadmorskiej, uczuciowe i z państwowych pobudek płynące przywiązanie do wybrzeża, wspólne jest dziś już wszystkim w Polsce.

Jedni ze sceptycyzmem, inni obojętnie przyjmowali jeszcze 8 lat temu projekty, zrodzone w „szalonych głowach” tych, którzy zapragnęli złośliwemu Gdańskowi, podrywającemu stanowisko Polski nad Bałtykiem i w handlu zamorskim, przeciwstawić własny, nowy port polski. I, aby go stworzyć, zamysłali



Ogólny widok Gdyni dzisiejszej

ryć ławice morskich piachów, przeorać dno niewdzięcznej zatoki, pogłębiać ją i sztuką inżynierską uwięzić jej moce! Rwali się, zaiste, na nieprawdopodobne przedsięwzięcie, na które trzeba było złoto chyba z owej płycizny małego morza kopać, a nie czerpać z polskiej, powojennej, biedy...

Ale tylko małe szaleństwa robią z wielkich rzeczy głupstwo. Wielkie szaleństwa rodzą rzeczy wielkie z niczego, z litej opoki wydobywają żywą wodę.

Tak tedy i piachy gdyńskiej, zaślimaczonej zatoki ustąpiły przed wolą i entuzjazmem szaleństwa, obliczonego cyframi, mierzonego pogłębiarkami dna, wyrwywającego żywiołom ich moce, piętrzącego stalowe dźwigi i żelazobetonowe łamacze fal.

W tych dniach zmarł jeden z najdzielniejszych inicjatorów budowy portu w Gdyni, który tytaniczne to dzieło oparł na podstawach realnego czynu. Inżynier Władysław Rumel związał Polsko-Francuskie Konsorcjum budowy portu, finansujące i przeprowadzające prace rękami polskich robotników i z materiałów krajowych polskich. Ostatnie dni inż. Rumla wypełnione były jeszcze sprawą zawierania nowej umowy między owym konsorcjum, a rządem polskim, o wykonanie drugiej serii robót w porcie gdyńskim, umowy, już w tej chwili podpisanej przez ministra Kwiatkowskiego,

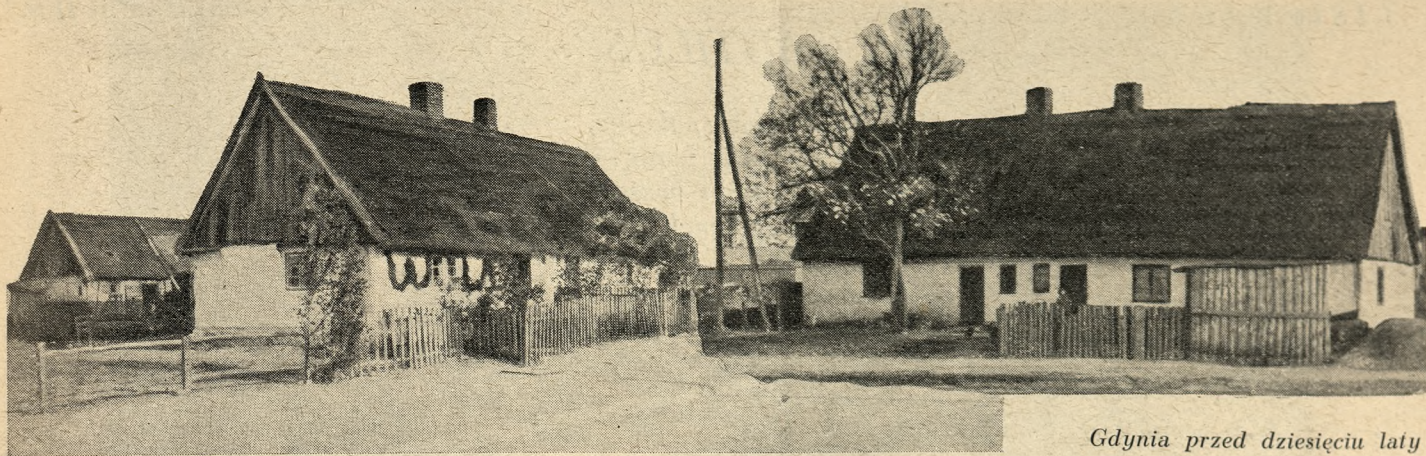
poświęcającego kwestjom morskim najbaczniejszą uwagę.

Gdy o morzu i Gdyni mowa, kogóż nie poruszy genialna myśl i intuicja serca, które żyje wśród żywych polaków, choć już na tej ziemi bić przestało — wizja polskiego portu w poemacie-kronice Stefana Żeromskiego — „Wiatr od morza“?

„Tam, gdzie teraz wałęsają się w malarycznym oparze białe lub łaciate kozy, uwiązane na postronkach i przytroczone na głucho do kołków, wbitych w torfowisko — gdzie beznadziejnie i bezskutecznie, wielkiem, zbiorowem gęganiem gęgają siodłate gęsi, biadając wśród kup beczuciowego torfu na swą deportację w te jałowe pseudo-trawy przez oberwane i niewiarogodnie brudne dzieci kaszubskie — gdzie majestatycznie przechadzają się wędrownie wrony, a czasem przebiegnie beżpański pies, naszczekując z odrazą w nudne rozłogi — zaświszczą sygnały i syreny setek kotłów, bić będą w niebogłose, jak w Southampton, tysiące młotów, warczeć będą maszyny, śpiewać będą pracownicy, przygotowywać się do podróży wokół globu ziemskiego polskie okręty i młodzi polscy marynarze. Forty na cyplach Helu, Oxywia i Kamiennej Góry osłonią to pracowisko od pokuszenia się o nie wroga, linje kolei żelaznych poniosą stąd dorobek świata w głąb ładu, przy-



Nowe gmachy w Gdyni



Gdynia przed dziesięciu laty

taszczą tu na wywóz dorobek pracy rąk polskich. W ciągu lat wykopany zostanie z długiej szyi chylńskiej ośmiometrowy pokład torfu, a podspodni piasek, wyrzucony na podstawę wałów i tam, ujmie kisaące wody malarycznej rzeczułki w czynne i żywo działające baseny.

Wokół bulwarów staną olbrzymie hale, warsztaty, windy, przedziwne kształty stoczni i magazynów, biura, domy, baraki, hotele...“.

Tak istotnie Gdynia już zaczyna wyglądać: potężny poemat gmachów, napowietrznych sieci i mostów metalowych, ruchliwych, jakby na karuzeli bawiących się wagonami, dźwiganami w lot, sypiącymi węgiel, cement, drzewo polskie w czeluście okrętów, które zawiozą je w tajemnicze strony świata. Tak wyglądają brzegi, opancerzone straszliwej mocy łamaczami fal, tak wygląda, oprawiony w betonowe moło, pod światłem lamp elektrycznych, gładko rozkładający się cywilizacyjny dorobek pracy polskiej. Tak wyglądają wspaniałe budynki biur portowych, oryginalny, nowoczesnej struktury gmach poczty, piękne hotele, stylowe wille na Kamiennej Górze, komfortowy zakład kąpielowy z ciepłymi kąpielami, rozległy, a już za ciasny dworzec kolejowy kaszubskiej architektury.

Tak piętrzą się magazyny, baraki, składy, słynna łuszcarnia ryżu, tak rysują się na ziemi splotami kilometry kolejek i szyn.

Ta oryginalna malowniczość Gdyni dzisiejszej, nędznej wioski rybackiej z przed lat 10-ciu, od kilku setek ludności rozrosłej pod 30 tysięcy blisko — mówi do nas przede wszystkim cyframi przeładunków w porcie, wartością wywozu i przywozu, ruchem handlowym i osobowym, bo cyfry te, to są sprawdziany rzeczywistego sensu i wartości tych wielkich spraw, jakie tutaj dokonywują się od kilku lat, ściślej mówiąc — od lat 4-ch, odkąd rozbudowa Gdyni przybrała tempo, zwane „amerykańskim“.

Cyfry przeładunku gdyńskiego rosną niemal z miesiąca na miesiąc. W roku 1929 Gdynia wywiozła

11.4%, a przywiozła 4.3% ogólnego obrotu towarowego Polski, co w porównaniu z rokiem poprzednim stanowi wzrost niemal podwójny.

Nasz handel zamorski kieruje się do państw bałtyckich, na Morze Śródziemne, do krajów bałkańskich, na Daleki Wschód, do Ameryki Północnej i Południowej oraz do Afryki.

Niedawno stosunkowo zaczęliśmy przewozić nasze towary pod własną banderą. Ubogo jeszcze przedstawia się nasza flota handlowa, a jednak, jeśli zważyć krótki czas — to 10.000 ton, do czego zbliża się obecnie nasz tonaż handlowo-pasażerski, już jest cyfrą, świadczącą o wysiłkach rządu i częściowo społeczeństwa.

Nie dość jest jednak osiąść mocną stopą na brzegu morskim, nie dość wbić słupy graniczne w piasek, toczony morską falą. Trzeba z tego wybrzeża uczynić odskocznnię w szeroki, daleki świat, trzeba być na morzu, na niem istnieć, żyć i rozwijać się. Prócz ekonomicznych korzyści morze otwiera narodowi, który je opanuje, niezmierne horyzonty dzielności hartowi ducha, kształtuje charaktery na modłę wielkich odkrywców i poszukiwaczy nowych ziem, uczy siły zarazem ekspansywnej i skupionej, uczy religijności wobec wszechświata, a nawet dzikość i surowość ludzi morza ma w sobie potęgę żywiołu. Dla miękkiego, zbyt nieopanowanego typu polskiego charakteru morze jest szkołą wspaniałej przyszłości.

Realizacja floty i przyszłości morskiej zaczyna się od zrozumienia spraw morza i poświęcenia im żywotnego i czynnego entuzjazmu w każdej rodzinie; od kultywowania sportów wodnych — nietylko dostępnych, lecz i niesłychanie zdrowych i godnych zalecenia, zarówno dla chłopców, jak dla dziewcząt; od zespolenia wysiłków materialnych, by jaknajwiększa ilość okrętów wypłynęła w naszych oczach na morze. Tam, na zmiennych, wiecznie ruchliwych falach będziemy pisali imię Polski, silnej i bogatej, ku uznaniu go przez wszystkie światy, do których sięgają morza i oceany.

M. LISIEWICZ

Z CYKLU „PACIFIC“.

NAUTILUS

Morze jest takie spokojne,
a srogi czas mnie nagli —
polecę ku jasnym brzegom
na skrzydłach moich żagli...

Rozpuszczę na miatry słone,
rozepnę wachlarzem wielkim.
O, jakżeż biedne są na dnie
małe muszelki...

Trwają przy czarnej skale
wśród rosochatych koralu,
nie znając pieszczoty słońca
w złotym polysku fali.

W głębinie wód zamknięte,
tula się w szare rozgwiezdy,
a ja — zwycięski królemicz —
mam łódź i żagiel do jazdy.

Lecz, gdy nademną zawisnie
Albatros o skrzydłach szerokich,
zwijam me żagle i tonę.
Mój ocean jest głęboki.

O WĘDRUJĄCEJ GÓRZE LODOWEJ

Zamarły we mnie kryształy borealnych mórz...
Kapaly się w moich szmaragdach
Strzeliste, tęczowe promienie
Północnych zórz...
Płynę w białych obłokach fal, niesiona przez rzeki
Prądów podmorskich i płynę tak — wieki, wieki...

Szkliste, zielone ramiona ukryłam w mroku wód,
Szukając cienistych głębin — bo boję się słońca.
Został pozamną daleko podbiegunowy chłód.
Zamknęłam go w moim sercu, tęskniąc.

Oto umieram, umieram. Gorący jest mój grób,
Śnieg mego ciała topnieje — rozlewa się — szumi...
Niesie mnie fali pęd na kres ów, kres daleki,
Na koniec mój — któram istniała wieki... wieki...

Oszczędźcie złote promienie, płonące na obcym niebie,
Surową nagość mych stóp — białe kryształy mych piersi,
Gdyż nim rozplnę się w nicość, rozbiję was w puchy tęczowe,
Pozginam, pozalamuję — w sobie was wszystkie pogrzebie.





HANNA MORTKOWICZÓWNA.

ZADOŚĆ UCZYNIE

Różnymi drogami chodziły niegdyś przyjaźnie moich najmłodszych lat. Małych konspiratorów z dzieciennego pokoju, patryjotycznych skautów, płowolowych Włódków i Stachów zdradzałam często beztrósko i odważnie z „obcymi“, z „wrogami“ ojczyzny, napiętymi powszechną wzgardą. Za czasów przyjaźni z Helmuthem byłam już trochę mądrzejsza i trochę starsza. Programowo nienawidziłam „szwabów“, z patosem śpiewałam w „Rocie“: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!...“ i zaśmiewałam się skrycie z nieprzyzwoitej trawestacji znanego dwuwiersza:

*„W Toruniu, gdzie rośnie piernik,
urodził się nasz Kopernik“.*

To ostatnie dlatego, że Helmuth był synem fabrykanta pierników z Torunia, „aus der deutschen Stadt Thorn“, jak mawiał z naciskiem.

Teraz, w lecie, przyjechał z rodzicami wygodnie i beztrósko na ten najbliższy morski brzeg swojej silnej niemieckiej ojczyzny. Na ten brzeg — stracony, zniemczony brzeg mojej polskiej, zagarniętej przez obcych, ojczyzny przyjechałam i ja tego lata.

Bałtyk — wielkie, szumiące morze, najlepszy towarzysz letnich zabaw — tłukł się drobną falą o piach brzegu, pachniał rybą, solą i jodem, marszczył się

i pienił w wietrze, zieleniał i błękitniał od słońca, białiał w deszczowych mgłach. Piasek był biały i sypki, jak gorąca mąka, ziarnisty od kryształów kwarcu, jak perłowa kasza, po brzegu ciemny, twardy i gładki, wylizany przez fale, posypany klejnotami muszli i opleciony wstążkami wodorostów.

Wiatr słonym oddechem odmuchiwał twarze, wyl w nadbrzeżnych djunach, zbijał w śmietanę gorzkich pian wodne krople i rzadko tylko pozwalał uspokojonej wodzie objawić pomarszczone dno i gromady rybek, smykających zwinnie pod powierzchnią.

Te rybki były łupem naszych codziennych połowów. Chwytałyśmy je w sieci i emaljowane kubelki, odgradzali od fali piaszczystymi górami, zamykali w sadzawkach, wykopanych u brzegu ostrą żelazną łopatą. Znaliśmy także i inne ryby tego morza: białe, śliskie, płaskie flondry, które — złote i lśniące od tłuszczu — wychodziły później z niedalekiej wędzarni; srebrne śledzie, czarne węże węgorzy, różowawego łososia, przybysza z górskich potoków.

„Der Lachs“ — mówił Helmuth — „der Aal“ — i mówił jeszcze: „Der Strand, Zoppot — Gdingen“. — Ja mówiłam: „Gdynia, Soboty...“. Dobrze, zajądłem pamiętałam każdą polską nazwę tego bałtyckiego brzegu: coraz dalej, coraz bardziej na zachód... Słupsk, Prośnica, Kołobrzeg...

„Stolp, Persante, Kolberg...” — krzyczał wtedy zapalczywie Helmuth i kończył tę litanję obelżywym zestawieniem dwóch, jedynie zapamiętanych, polskich słów: „Du — Slupsk — głupia”.

Potem następowała walka na pięści, a potem następowała już zgoda. Bo nikt nie potrafił tak, jak Helmuth, budować z piasku fortec i baszt, wznosić fortów i tam, głębokimi lochami dziurawić piaszczystych pokładów; nikt nie biegał tak szybko, nie pływał tak odważnie i nie gwizdał tak głośno, jak on. Miał opalone, sprężyste brązowe łydki, muskularne ręce i marynarskie ubranie w białe i niebieskie paski z czerwoną kotwicą na ramieniu. Miał ostry podbródek, jasną szczotkę włosów na ostrzyżonej głowie, piegi na nosie i zimne, stalowe spojrzenie, biegnące naprzód z poza sztywnych, prostych, złotych rzęs.

Może aż do końca pobytu ulegałabym pokornie cesarzowi i sile jego dziewięcioletniej osoby, gdyby nie ostatnia walka o fortecę i gdyby nie ta mała chorągiewka — czerwono-biała, nędzny wykładnik moich patriotycznych porywów — wyrwana z piachu i ciśnięta mocną ręką na wodę. Odpływająca od brzegu fala zabrała ją wraz ze sobą, a wiatr odganiał coraz dalej.

Zapomniałam wtedy pięściami dochodzić swej prawdy na podłym prusaku. W pogoni za małą szmatką czerwono-białego jedwabiu biegłam coraz dalej po śliskim dnie, obijając się o bałwany i mocząc różowy perkal sukienki. W zielonej burzliwej wodzie po pas, ugrzęzłam wreszcie bez tchu, dusząc się łzami i odpryskami piany, i ostrym, mocnym podmuchem nadbałtyckiego wiatru.

Nie złowiłam małej chorągiewki na ruchliwych grzbietach fal i nie pogodziłam się już więcej z Helmuthem. Po kilku dniach wybuchła wojna: jako rosyjscy poddani, powędrowaliśmy stłoczeni w wagonach dla bydła na północ, a Helmuth wrócił pewnie i spokojnie z matką, starszym bratem Ernestem i małą siostrą Hildą do swego miasta, rodzinnego miasta „Thorn an der Weichsel”.

Było to w roku 1914-tym.

Dużo razy od tego czasu powtarzałam już słowo „Gdynia” swobodnie i bezkarnie i dużo razy łowiłam swym oddechem szeroki oddech odzyskanego polskiego wybrzeża. Barwy mojej małej chorągiewki oglądałam nieraz na tle nadmorskiego nieba, w słońcu wolności. Zapomniawszy o Helmucie, triumfowałam nad nim wielokrotnie na bulwarach portu, na piaskach brzegu i pokładach statków, w szafirze

słonecznego nieba i gorzko-słonym kryształem ruchliwej wody.

Tak się jednak złożyło, że w Toruniu byłam niedawno po raz pierwszy. Przez średniowieczne bramy portu, z płataniny uliczek, od czerwonych ścian kościołów i baszt, od łuków gotyku i girlandowych stiuków renesansu wyprowadziła mnie gwarna ulica po raz pierwszy ku znajomemu nazwisku, wypisanemu na polskim szyldzie sklepu.

Helmuth, mały pruski obywatel w marynarskim ubraniu, zacięty wróg Polski — „w Toruniu, gdzie rośnie piernik...” Czy pamiętasz?

Jakże wiele było tych pierników: z migdałami i w czekoladzie, pomarańczowych i miętowych — wszystko o polskich nazwach i opakowaniach: przekładane i kostki toruńskie. Były wśród nich i takie, które w 1914-tym roku częstowała mnie mama Helmutha. Ale nowością w tej witrynie i na ladzie tego sklepu były zabawne renesansowe osoby królów polskich, rycerzy i dam, z blade-żółtego ciasta odlane figury, których szesnastowieczne formy odnalazła dziś i wskrzesiła ku pożytkowi i ucieście polskich serc stara toruńska fabryka pierników, ojca Helmutha, fabryka niegdyś przed wiekami na służbie królów polskich będąca...

Z taką zabawną piernikową postacią Zygmunta III-go czy Władysława IV-go w palcach, zapytałam nieśmiało sprzedającej panny: „Co porabia Helmuth?”.

Długo i mozolnie układała w niewykłych do niemieczyzny ustach twarde polskie słowa, by zadowolnić mnie uprzejmą odpowiedzią: Jest w Toruniu, a jakże, musi pracować tu, w Polsce, gdy się tak ułożyły warunki, jest przecież dziś polskim obywatelem, nauczył się po polsku, pomaga ojcu w fabryce pierników... Zerwał się kontakt z Niemcami, zmieniły czasy...

Żadnym słowem nie wyjaśniłam pannie sklepowej powodów mego zainteresowania osobą Helmutha. Żadne słowo nie było tu potrzebne, by podkreślić sens tego niezwykłego spotkania, tej chwili zadośćuczynienia, przeżytej po latach w sklepie dawnego przyjaciela i wroga.

Nie chciałam wykorzystać triumfu, akcentować zwycięstwa, bezwzględnie słowem natrzasać się z ofiary historycznej sprawiedliwości.

W gardle i w nozdrzach poczułam tylko to samo, co przed laty, słone, duszące zachłysnięcie, ostry skurcz żalu, niepokój dalekiego bałtyckiego wiatru, gorzki smak łez — czy morza?



Król Zygmunt III.

E. SZELBURG

MORZE I NAUCZYCIELKA Z GŁUCHOWA

Panna Faustyna machnęła jeszcze kilkakrotnie dużą, płócienną chustką w stronę pokrzykujących wesoło dzieciaków, które, wyrwawszy się wreszcie z ogrodzenia szkolnego, uganiały się teraz w pyłe wioskowej drogi z wysoko podniesionymi nad głowy świadectwami szkolnymi.

Potem panna Faustyna wytarła tą chusteczką skronie, złożyła ją starannie według kantów, przybrudzoną stroną do wewnątrz, i, zamknawszy bramkę na obluzowany skobelek, zawróciła do mieszkania. Zapadłe jej policzki popęły z całodziennego zadowolenia i rozróżowiły się niemal po dziewczęcemu. Przed samym gankiem przystanęła i jeszcze raz, oczami ucieszonemu nanowo, przyjrzała się skrawkom amarantowo-białej bibułki i świerkowym gałązkom, zwisającym z nad otwartych narożników drzwi szkoły. To było oczywiste — uroczystość zakończenia szkolnego roku wypadła doskonale.

Panna Faustyna przeszła przez ciemną sionkę, czyli szatnię, najeżoną w połowie ścian pustymi o tej porze kołkami od wieszania ubrań, i zatrzymała się na wydeptanym progu pustej klasy. Z przyjemnością wciągnęła w zużyte płuca zapach atramentu i kredowego pyłu i serdecznie, z należnym jednak szacunkiem, uśmiechnęła się do litografowanego portretu Panny Prezydenta, patrzącego na nią z pod białych skrzydeł wielkiego, wycinankowego orła. Poczciwie jej oczy błyszczały małą dumą.

— Wszystko w porządku — odpowiedziały spojrzeniem na spojrzenie.

Tak, panna Faustyna była dziś zadowolona. Więcej. Była szczęśliwa. Tak szczęśliwa, jakdyby to ona właśnie dostała tu w tej klasie świadectwo z dobrym postępem.

A czyż tak właśnie nie było?

Z prawdziwą miłością przesunęła panna Faustyna zartretyzmowanymi palcami, pełnymi niedowymbionych plam z czerwonego atramentu, po grzbiecie wysłużonych ławek...

...Ileż to głów dziecięcych podnosiło się ku niej z nad tych czarnych pulpitów!... Ileż to oczu, uszu i serc! i serc dziecięcych chłonęło jej słowa, proste słowa starej ludowej nauczycielki, małe, skromne słowa, o największej, o tej najcudowniejszej sprawie: — o odzyskanej ojczyźnie, o Polsce!...

...i panna Faustyna małym palcem, skrzywionym przez artretyzm, wylęgły w wilgotnej chałupie, obtarła szybko drobną, siwą łzę z lewego oka.

Rozczuliła się.

Była sama w pustej klasie. Współtowarzyszka jej i współlokalka, a oficjalnie: kierowniczka, młoda, wykwalifikowana nauczycielka (wyższe kursy pedagogiczne w Warszawie, a jakże!) zaraz po ukończeniu oficjalnej części programu uroczystości siadła z niewielką walizką na czekającą zawczasu podwoję i już pewnie dojeżdża do przystanku kolejowego w Maligórze.

Panna Faustyna przypomina sobie, że i ona przecież od jutra ma wakacje. Błogi uśmiech szczęścia prześwieśla grube, prostackie rysy starej nauczycielki. Bo nie tylko to, że wakacje. Brak zajęć szkolnych, trwający całe dwa miesiące, nigdy nie cieszył panny Faustyny. Ale teraz, w tym roku właśnie, po raz pierwszy w życiu panna Faustyna ma możliwość spędzenia tego czasu, jak zechce i gdzie zechce, czyli poprostu pojechania dokądś!

Podróż, a raczej krótka, kilkunastodniowa wycieczka, coś tak zwykłego i bez znaczenia dla wielu ludzi — dla niej jest tem największym, co ją spotyka w życiu, przepracowaniem w głuchych kątach, zabitych deskami od szerszego świata.

Mała, szara książeczka P. K. O., spoczywająca w dzień w płóciennym woreczku na piersiach, a w nocy pod poduszką, kryje w sobie mnóstwo rzeczy, od ust odjętych, wszystkie odmówione drobne przyjemności... To nic. Szare papierowe okładki tej książeczki w oczach panny Faustyny zmieniają się w skrzydła! Oto i ona wreszcie spróbuje lotu!

A że potem może przyjść choroba i zbraknie na lekarstwo... albo nie starczy na trzewiki, czy na nowe pokrycie starego, przedwojennego jeszcze popielicowego futerka... Eh! Panna Faustyna z niezwykłą u niej gwałtownością macha ręką:

— Raz się żyje!

I jeszcze, tylko weselej:

— Jak użyć, to użyć!

I panna Faustyna używa. Używa za wszystkie czasy: trzecią klasą pośpiesznego pociągu jedzie z Głuchowa do Gdyni!

— Nad morze! nad nasze polskie morze!

Cała długa i męcząca droga jest jak jedno wielkie święto. Panna Faustyna nabożnie odczytuje nazwy wszystkich stacyj i raz wraz notuje coś skrętnie w ceratowym notesiku. Stare słowiańskie nazwy wprowadzają ją w religijne niemal zachwycenie. Duma podnosi jej zapadłe piersi: że nigdy nie zwątpiła! że od dziecka wierzyła zawsze w taki Dzień, w taki oto powszedni dzień Święty!

Z wypiekami na twarzy stoi w oknie wagonu

panna Faustyna. Stąpione nad zeszytami oczy wypatrują usilnie, bo „stad widać już morze” — zapewniają współtowarzysze podróży.

— O! o! Widzisz paniusia...

— Gdzie? Gdzie?

— A o, o tam. Ten siwy pas.

Panna Faustyna chwytą się drżącymi rękami za dygoczącą ramę okna!

— Ten — siwy — pas — tam w dali...

Tego samego dnia, zakurzona i zmięta, ale bynajmniej nie zmęczona, znalazła się panna Faustyna w Gdyni.

Z czytanych pilnie gazet, z opowiadań wiedziała, że oto stanie nagle w takim miejscu, gdzie cudem wytrzymałości i pracy na pustym morskim brzegu z jałowych ziarn piasku, w ciągu dziesięciu zaledwie lat, wyrosło olbrzymie, na cały świat znane portowe miasto, pełne międzynarodowego ruchu i gwaru.

Sama o tem nieraz opowiadała dzieciom w szkole z dobrotliwym, zadowolonym uśmiechem, jak sprawdzoną nareszcie bajkę o Żelaznym Wilku.

A przecież teraz, kiedy to wszystko ujrzała na prawdę w biały dzień, w jasnym słońcu i własnymi oczami, doznała niemal przerażenia... Było to poprostu zbyt wielkie na siły starej nauczycielki, starganej w podziemnej, drobnej, mrówczej pracy. Ze świętą zgrozą w rozszerzonych oczach, z lękiem w skurczonym sercu posuwała się, jak we śnie, między niezrozumiałymi dla niej olbrzymami z żelbetonu, stawiała przed niepojętymi stalowymi kształtami... Spłoszone nazwy elewatorów, łuszczarń, doków mknęły przez jej oszołomioną głowę...

Zapatrzyła się w osłupieniu na pierwszy raz w życiu widziane kilkopiętrowe gmachy parowców, spoczywające lekko na falistej, miękkiej wodzie... Zastłuchiwała się tępo w świst syren, szczęk łańcuchów, okrzyki robotniczej armji. Z całem swem mrówczem życiem uczuła się nagle maleńka, jak jedno z niezliczonych ziarenek piasku pod stopami tych nowych budowniczych.

Westchnęła sobie cichutko, ale bez żalu. Skwapliwie i z szacunkiem usunęła się z drogi tragarzom, dźwigającym na pokład jakieś wory. Przez skurczone jej serce przepłynęła teraz nieznana dotąd słodycz spełnienia. Pomyślała, że oto może już odejść!

Poza obrębem portu, na złocistej plaży, jak zwinne, a zarazem leniwe jaszczurki, sycili się słońcem i wodą młodzi ludzie pełni radości i bez troski. Na bronz spalone ciała dyszały zdrowiem i rozkoszą. Przez kryształowe bryzgi fal dzwoniły rześkie, metaliczne głosy. Panna Faustyna szybko, niezręcznie przemknęła między plażującymi, po piasku, wsypującym się do jej źle zesnurowanych bucików. Dawno zwiędłe i pogrzebane wspomnienie ożyło w niej na ten niespodziewany widok beztroskiego słońca, lazurowe-

go morza i strojnej nagości. Ożyło i nagle zaczęło rozkwitać w kłujący kwiat żalu za straconą dobrowolnie młodością, za miłością mężczyzny, nigdy nie zaznaną.

— O Boże! skąd jej myśl taka w tej chwili?

Z wypiekami wstydu na zwiędłych policzkach ucieka panna Faustyna w karłowate wikliny, pomiędzy szorstkie, blade trawy, potyka się na nierównym gruncie... Wreszcie, zmordowana, zgębiona, upokorzona, siada bezwładnie na jakimś kamieniu. Skuliła się, głowę spuściła na piersi — nie śmie spojrzeć ani na ziemię, ani na morze. Tego jednak nie da się ukryć: i ziemia i morze wiedzą już, że kłujący kwiat żalu coraz wyżej rośnie w piersi samotnej, przedwcześnie zestarzałej kobiety.

Maleńka, taka słodka duma z ofiarnego mrówczego życia stała się nagle kamieniem ciężkim i gorącą. Cóż z tego, że wbrew woli? Panna Faustyna czuje swą winę, ale nic na to poradzić nie może.

— Jestem już tylko starą, zmęczoną życiem samotnem kobietą...

A gdy tak siedziała, znużona śmiertelnie i śmiertelnie samotna, ujrzała cień, leżący u jej nóg na mokrym, słonym piasku. Pochyliła nad nim twarz szarą od łez. Cień poruszył się i dźwignął ku niej głowę.

— Jestem — przemówił cicho ciemnymi wargami.

— Któż ty jesteś? — zdumiała się.

— Twój cień.

Wstrzymała dech ziemia. Morze podeszło bliżej i stanęło w milczeniu o dwa kroki od nich.

Kobieta nieśmiało wyciągnęła ręce do cienia i cień wyciągnął ręce do niej. Ma teraz głowę obok jej głowy, usta obok jej ust. Mówi:

— Jakżeś ty mogła dotąd nie wiedzieć? Byłem przy tobie zawsze. Szedłem za tobą krok w krok. Nie opuszczę cię nigdy.

Ręce ich splotły się. Głowy ich się złączyły. Powstali z rydzego piasku i idą objęci, nie, zrosnięci z sobą. Wąska, biała ścieżka wstępuje na skały, pnie się z ciemnego bloku na blok ciemny, czepia się stromych głazów, zawisa nad otchłanią, przerzuca się przez rozpadliny i idzie wciąż w górę, w górę, w górę!

Kobieta, która po tej ścieżce stąpa, nie czuje już bólu, nie czuje smutku, ni znużenia. Uśmiecha się do swego wiernego towarzysza drogi:

— Ty jesteś mój cień.

Ale oto cień wyprzedza ją na stromej górskiej ścieżce. Wyprzedza ją i rośnie, olbrzymieje. Już ona jego głowę widzi na lśniących skałach, wysoko nad swą głową! i wyżej jeszcze! i jeszcze wyżej! Potężnymi nogami kroki siedmiomilowe on stawia, potężnymi rękami obejmuje świat!

Rzekła tedy Faustyna do swego towarzysza:

— Ukochany, oto ja teraz jestem cieniem twoim.

Uśmiechnęło się słuchające w milczeniu morze i uśmiech swój podało dalej błękitnemu niebu.

M. H. SZPYRKÓWNA

NA BŁĘKITNEJ REDUCIE

Pamiętam, że wysiadłam wtedy na jakiejś szosie, ocienionej staremi, pięknymi drzewami — wysiadłam troszkę stracona i pełna podziwu. Autobus, wyrzuciwszy mnie przed nikłą tabliczką na słupku z napisem — „Orłowo” — potoczył się dalej idącą w nieskończoność szosą. A ja zatrzymałam się chwilę, patrząc, gdzieby tu też mogło się kryć owo osławione polskie morze? A nie znalazłszy nic, co by wskazywało bodaj na jego ślady, poszłam małą ścieżyną pomiędzy polami. Falisty, łagodnie wznoszący się i opadający krajobraz złościł się od skraju do skraju czemś kwitnącem, co pachniało słodko w pierwszym czerwcowym cieple. Zboże z obu stron ścieżki cichutko poszeptywało. W oddali czerwieniły się w zieleni drzew jakieś dachówki. Podobno miały leżeć nad morzem: ale, na miły Bóg! czy morze da się schować tak bez reszty, żeby go aż trzeba szukać lunetą? I wogóle, gdzież w tych zielonych, soczystych łąkach i drzewach analogja do zawsze towarzyszących morzom, dotąd widzianym, ławic piasków i rachitycznych cieni, zasuszonych o tej porze roku, jakby posypanych pieprzem agaw i palm?

Czerwone dachówki wyodrębniły się powoli w kilka — może nawet kilkanaście?... rozrzuconych tu i ówdzie domków i willi. Przedemną — wysoki nasyp, rodzaj alei, zamykającej osiedle: stamtąd obejrzymy krajobraz. Oczami ducha widziałam już na dole żółte rozłogi piasków, trochę skąpej roślinności i na horyzoncie — szary półkrąg morza. W północnych krajach woda jest przecież szara! I jak się ludzie dostają do wody stąd? Trzebaby chyba trzymać wielbłądy!

Staję wreszcie na nasypie i spoglądam. I nagle — dech mi zapiera z wrażenia i zachwyty. Morze! Morze! Nie gdzieś, na horyzoncie, tylko tuż, nisko pod osypiskiem zielonego, spełzającego malowniczymi lawinami brzegu, który ocieniają białe, strzeliste, śliczne brzozy, zaglądając w toń. Szumi, pluszcze, nadpływa i cofa się, wielkie, ogromne, nieogarnione, prześlicznie szafirowe, bezdennie cudowne, urodzone, jak błękitna niespodzianka w kolebce zielonych wiklin i łąk, potrząsione szelestem brzoź i zboża — nasze północne, zwarte, rześkie morze!

Kto mówi, że tam, daleko, po drugiej stronie, są Niemcy? Nieprawda, och!... nieprawda! Za jego skrajem może być tylko — niebo, które poto pochyliło się tak nisko ku szumom jego roztoczy, aby nie uronić nic z dziejów niedoli i wyzwolin, którą szemrzą, którą się burzą i buntują jego nieznane dna!... I pomiędzy jakimś lądem zaborczym, który na nasze morze się nastawia, aby je zakuć w łańcuchy kotwic, zasłonić płachtami żagli, przekupić ładunkami skut, pomiędzy wszystkim, co niesłuszne i zaborcze na ziemi, a

naszem morzem: wierzę, że stanie zawsze nieprzeniknioną zasłoną wszechwiedzące i sprawiedliwe niebo!...

I pamiętam, że kiedy stałam na tym wysokim brzegu w osadzie Adlerhorst (Orłowo) i kiedy patrzyłam na pobrzeże nasze („kurytarz Gdański”) — w ładowej mojej duszy, nie wiele wiedzącej o rzeczach tej błękitnej potęgi, rozkołobanej w brzegach ziemi: coś żywiołowego, nowego niewiadomego, ale już niezwykłego w swojej zachłannej mocy zaczęło żyć. Zagarniało coraz większe i głębsze obszary jej dziedzin, aż do najdalszych krańców przynależności narodowej tak właśnie, jak morze zagarnia piaski wydmy. Nasze! Postokroć, potysiącokroć nasze morze!... Nie tem nasze, że nam przydzielone wykresem z obrad Ligi, a tem, że brzegom polskim rodzime od wieków z łaski Boga. Że nie byłoby w nas tak szerokiego na nie oddźwięku, tak głodnej jego ochoty, tak szumnej z niego radości, gdybyśmy dostali szmat obczyzny, a nie coś najrdzenniejszego, z duszy i ciała własnego, tylko utraconego dziejami rządów ziemi.

Morze! Morze! Odwieczna kolebko naszych dalekich pomyśleń o zdobyczach świata, błękitny nasz wylocie na bezbrzeża wszechziemskich wód! I dokądże



„Szumi, pluszcze, nadpływa i cofa się nasze północne, zwarte, rześkie morze“...



Las pod Orłowem.

się wytoczy, i w którą stronę wykipi nadmiar naszych sił, szukających ujścia, jeżeli nie na twoje bezkresy? Jesteś, jak wał obronny, na którym oto w szczęściu i trudzie budujemy nasze strażnice, placówki bezpieczeństwa i dobrobytu. Ku tobie to z całej Polski, jak wielka, ściągają nasi budowniczości, i dźwiga się na tem do niedawna bezładnem pobrzu, i wyrasta, i wyczarowuje się z piasku Nowa Polska, strzelając wieżami ciśnięć, hakami dźwigarów, masztami dalekich sygnalizacyj. Otwiera i mruży nad tobą nieusypliwe złote oko latarnia naszej strażnicy i czujnie rzuca na ciemne wody snop światła, aby widziano, że—patrzy. Nie damy! Nie damy, jak matka nie dałaby dziecka, nie damy, jak kochanka nie dałaby swego kochanka; nie damy, jak synowie nie daliby obcym rodzinnego swego zaproża! Nie damy! Nie czyje, tylko nasze lzy zakrzepły na pobrażach Bałtyku złotymi kroplami bursztynu; nie czyją, a naszą radością złącą się iskry słońca w okach pracowitych rybackich sieci. My! My, nie inni, jesteśmy prawem dziećmi tej ziemi, na której też nam, nie innym, żyć i budować po wieki! I pierścień zaślubin, rzucony przez Polskę w błękitną otchłań morza, czyż nie jest ślubem tyleż nierozdzielalnym w obliczu Boga i ludzi, jak każdy z serca zawierany ślub, a tem ważniejszym, że jest to potężne serce wielomilionowego narodu!

A my, kobiety, co możemy i co powinnyśmy zrobić, ażeby ten dziki do niedawna brzeg zdomowić i uczynić złotodajnym?

Pomyślmy! Jest to paradoks, ale — przyszłość

polskiego brzegu leży procentowo w rękach kobiet w wielkiej, w potężnej mierze! Nie pomogą wysiłki rządowe na fortyfikowanie portów, o ile... pobraże nie stanie się kąpieliskiem pięknym, wygodnym, taniem i stąd przyciągającym szerokie masy letników. Niechby nie było nawet ściśle kąpieliskiem: może być zawsze — uroczem letniskiem! Mówią, że u nas sezon kąpielowy trwa krótko: ale nie dłużej przecież trwa i w przyległych Sobotach, które jednak aż do najpóźniejszej jesieni roją się od międzynarodowego tłumu. A Polacy mają w nim znakomitą swoją rubrykę.

Dlaczego tak się dzieje i przez co? Przez nas! Przez kobiety! Bo nie budujemy takich pensjonatów, jakie powinny zadowalniać dzisiejsze wymagania i konkurować pomyślnie z sąsiedzkimi urządzeniami! Bo nasi mężowie, synowie i bracia kalkulują na taniść, nie na przyszłość; bo nasze siostry, córki i znajome urządzają letniska nadmorskie na lichą i drogą tandetę, zniechęcając polaków do polskiego pobraża, jako do letniska. Robimy z naszego cudownego naprawdę pobraża sezonowe obozowisko, niedopuszczalne w polaci kraju, która musi stanowić przeciwwagę rozważnego, komfortowego, gospodarnego sąsiada. Musi, bo inaczej nie utrzymamy morza! Nie utrzymamy, wbrew temu, że wszelkie pretensje niemieckie są niesłusznymi, sztucznie w narodach utwierdzanymi sugestjami! Kto u nas wie, że Pomorze, zwane przez Niemców „kurytarzem“ (celowo, dla jego pomniejszenia), równa się, co do obszaru, na przykład — połowie Belgji? I czy komu jest znana statystyka, która ze strony niemieckiej nawet — a więc dla nas najniekorzystniejszej! — oblicza procentowo ilość Niemców w tym kraju na dwanaście, wyraźnie, tylko na dwanaście... procent ludności? I mielibyśmy utracić taki szmat, z ciała polskiego wydarty, dlatego również, że kobiety nasze za zyskiem sezonowym nie widzą olbrzymiej straty, jaką przyczyniają Polsce?... Czy wolno nam żyć jednodniową spekulacją, zamknawszy oczy na wiszący nad morzem naszym hak gdańskiego dźwigaru, któryby chciał zaczepić Pomorze i, uniósłszy w powietrze, włączyć do swoich obszarów, jak skrzynię cennego bursztynu, bo nie strzeżono jej dość?

W rocznicę wielkich zdarzeń dziejowych, które nam otworzyły okno ekspansji na świat, dotąd oclony obcymi granicami, postanówmy sobie! My wszystkie, które w ten czy inny sposób do morza uzyskałyśmy dostęp, bądź bezpośrednio, bądź przez naszych bliskich: postanówmy sobie przynieść do błękitnej naszej fortecy cegiełkę swojej pracy i pomocy! Nie teorie i nie ligi zbawiają świat, ale czynne, pracowite ręce kobiece, których mądrość płynie nie z ksiąg, a z serca — i które niechże pamiętają, że im to dano w wielkiej mierze utrzymać wysoko białą-czerwoną chorągiew nad odzyskanem polskim morzem!

MORZE W LITERATURZE POLSKIEJ

W złotym wieku literatury polskiej morze było pozycją martwą. I jako temat, i jako tło, i jako ornament stylowy. Źródła natchnienia były gdzieindziej.

Humanizm na pierwszy plan wysunął człowieka, wyodrębnił jednostkę z gromady, wywalczył indywidualności prawo do życia. Natura, w średnowieczu skazana na wieczne milczenie, jeszcze nie przyszła do głosu. Krajobraz jest wartością nieznaną. Siły przyrody przemawiają nie wprost, ale za pośrednictwem figur retorycznych, okrywających ich żywiołową nagość wyszarzaną draperją klasycznych metafor, personifikacji i hyperbol.

Jeszcze jeden dowód, że wpływy antyku na poezję nowoczesną były zgoła formalne: czyż możemy sobie dziś wyobrazić Grecję bez morza? A jednak to morze, które w Iliadzie i Odysei odgrywa rolę decydującą, — w poezji pseudoklasycznej wyszło ze szczerem. Pozostało po nim tylko martwe godło: trójzęb Neptuna.

Poeci nasi dawnej Polski niepodległej, którzy tak skwapliwie oddają swoje pióra służbie dla dobra publicznego, którzy nie opuszczają żadnej okazji, aby napominać, zagrzewać do czynu, grozić upadkiem Rzeczypospolitej — ujawniają absolutny brak instynktu morskiego. Gotowi są przelać wszystką krew swego serca za jedną piędź ziemi ojczyźnej, ale nie przyjdzie im na myśl, że skuteczniej byłoby tę gorącą krew zastąpić chłodnemi wodami mórz dalekich. Przemawia przez nich podświadomy głos rasy lądowej: wierzą w ziemię, nie ufają morzu.

Dzisiaj, kiedy nakaz morskiej ekspansji ekonomicznej jest jednym z dogmatów zasadniczego „credo” państwowości polskiej, żalosną groteską wydają się nam biadania Kochanowskiego w „Satyrze” na to, że szlachta zboże spławia Wisłą do Gdańska, że „nie masz w Polsce, jeno kupcy a rataje”, że skutkiem gorączki handlowej upadł duch rycerskiej bezinteresowności, że o wojaczce nikt myśleć nie chce, chociaż wróg za progiem.

Kochanowski był patryotą i, dodajmy, był poetą dworskim, a takiego właśnie sceptycznego stanowiska wobec ekonomicznego usamodzielnienia się szlachty wymagała od niego ówczesna polityka królewska.

Gdańsk był „Chłzańskim”, bo chłonał bogactwa naturalne Polski, a na jego pośrednictwie, jak na martwym punkcie, utknęła morska ekspansja „spichrza Europy”.

Nie możemy wymagać, żeby w dziedzinie polityki żrenice poetów sięgały dalej, niż wzrok mężów stanu. Dar jasnowidzenia mają tylko oczy genjuszów, a genjusza poezji Polska niepodległa nie wydała.

W epoce romantycznej siły natury wkraczają triumfalnie na teren poezji. Jest to jeden z objawów reakcji przeciw klasycyzmowi i racjonalizmowi. Człowiek korzy się przed przyrodą, ją obiera za mistrzynię, przewodniczkę, powiernicę najwierniejszą i najczulszą. Ona, ten sfinks niezbadany, czaruje tajemnicą, zapładnia natchnieniem poetów.

Byron był tym Posejdonem poezji, który romantyzm skąpał w morzu. Dusza wypiarza, ruchliwa, nieobliczalna, żywiołowa, pełna załamań, burz i niespodzianek — organicznie była pokrewna wiecznie zmiennej, nieuchwytniej i niezgłębionej toni morza. Jego sentyment dla Grecji, przypieczętowany krwią, to tylko fragment tej olbrzymiej pasji, której na imię: morze. Fragment zresztą przepiękny i nieskalany w linjach, jak grecka kolumna.

To, co było u Byrona żywym głosem rasy i instynktu, u jego epigonów staje się martwą literą konwensu poetyckiego. Siła rzutu jednak jest tak wielka, że nawet przez naśladownictwo prowadzi do natchnienia.

Morze w pierwszych byronicznych poematach Słowackiego — to jeszcze tylko pokusa przygody, albo poprostu teatralna dekoracja — morze, znane z lektury, nie z osobistego bezpośredniego kontaktu; ale w „Hymnie o zachodzie słońca na morzu” morze jest już realnym wykładnikiem tęsknoty za ojczyzną, a w lirykach, pisanych w Pornic w Bretanii, jest coś więcej, niż pejzaż nadmorski: jest tchnienie nieskończoności. Ale żeby tak morze rozumieć, jakże głęboko trzeba było wejść w siebie!...

U Mickiewicza morze (w sonetach krymskich i w „Żeglarzu”) nie istnieje samo przez się. Jest albo symbolem zjawisk psychicznych, albo pretekstem do ujawnienia stanów duchowych poety. Jego stosunek do morza jest czysto kontemplacyjny, raczej bierny, niż aktywny. Dynamika morza działa nań podniecająco jedynie w kierunku uświadomienia sobie i pogłębienia swego „ja”, nigdy nie budzi w nim żądzy opanowania żywiołu.

Jedną z cech zbiorowego nastroju w okresie powstaniowym była mistyczna tęsknota do Polski „od morza do morza”. Ale to morze było nieuchwytnym abstraktem. Jeżeli korzyli się przed niem poeci parnasiści (Konopnicka, Tetmajer), to był to bezinteresowny, czysto estetyczny hołd duszy samotniczej, w dumnym osamotnieniu morza szukającej ujścia dla niezaspokojonych nigdy pragnień piękna, wyzwolenia elementarnych sił, drzemających pod skórą człowieka cywilizowanego. Ale morze w ich utworach nie jest wartością realną. Napróżno szukalibyśmy w niem tej in-

dywidualności, tego wyrazu, tej niezapomnianej twarzy, jaką ma ziemia u Prusa, Orzeszkowej, Reymonta, Rodziewiczówny, las u Żeromskiego i Weyssenhofa, góry u Tetmajera i Orkana, tajga u Sieroszewskiego.

Tak zwany „modernizm” wnosi nowy ton do tego czysto konwencjonalnego stosunku. Przybyszewski i jego epigoni, patrzący na wszechświat pod kątem płci, starają się wydobyć z morza utajony w niem pierwiastek kosmicznego erotyzmu. Djonizyjski pogodny żywioł, uosobienie zdrowej potęgi, nabiera pod ich piórem chorobliwych rysów mściwej, ponurej, wszystko niszczącej Astarte.

Ponad tą atmosferą „morskiego” zakłamania, gdzie w dusznej ciasnocie kawiarni, wśród papierowych bałwanów, oceanu czarnej kawy i mglistych oparów alkoholu rodzi się neurasteniczny majak morza, — zdala od tych, dziedzicznie obciążonych niemocą twórczą, pigmejów lądowych, wyrasta tytan morski — Conrad.

Podczas gdy pokolenie jego rówieśników narkotyzowało się marzeniem o Polsce „od morza do morza”, podsycał rozpacziwymi dawkami konspiracyjnych wysiłków, on poszedł to morze zdobywać. Najprzód czynem, potem piórem. Na oceanach drugiej półkuli, tam, gdzie nie sięgała najśmielsza myśl polska, zatknął banderę — nie polskiej państwowości, której wówczas nie było — ale polskiego geniuszu.

Stosunek Conrada do morza jest stosunkiem równego z równym, jest to wyjątkowy przykład symbiozy istoty ludzkiej z żywiołem. Morze nie jest dla niego księżniczką daleką, — to kochanka, którą zdobył, posiadał, której nigdy nie jest pewien i dlatego zawsze jej jest wierny.

Istnieją twórcy, którzy pojmują wszechświat i naturę przez drugiego człowieka, najczęściej przez kobietę. Conrad podchodzi do człowieka przez morze, przez morze bierze miłość i kobietę. Morze jest tym łącznikiem, który go zespala ze światem duchów, ono mu daje klucz do zrozumienia najgłębszych tajemnic serca ludzkiego. Przepaść — przepaść wywołuje. Ludzie Conrada nie są stworzeni na obraz i podobieństwo człowieka, ale na podobieństwo morza. Z ich czynów bije bezpośrednia i ślepa potęga żywiołu, ich piersi podnoszą się i opadają rytmem przyływu i odpływu, ich namiętności mają fatalność, głębię i niezwalczony czar morza. Morze żyje we wszystkich dziełach Conrada, nawet w tych, gdzie się o niem nie wspomina. Bo postawa jego wobec faktu jest zawsze postawą żeglarza. Conrad bez morza jest dla nas, jako twórca, dziś nie do pojęcia. Ważniejsze to, że morze dla nas byłoby zawsze niepełne, nierzeczywiste, niezrozumiałe bez Conrada. On mu dał wyraz najbardziej żywy, nieskażony najłżejszą tendencją, niezafałszowany domieszką publicystyki, bezpo-

dni, artystycznie doskonały, bo płynący ze źródeł podświadomości.

Pisarzem, który może najlepiej zrozumiał i odczuł Conrada i na podstawie tego wewnętrznego zrozumienia budował swój, nawskroś świadomy stosunek do morza — był Żeromski. Nieodrodne dziecko swego pokolenia, skondensowany ekstrakt jadów niewoli, rozsadzających fermentem buntu fiolet polskiego męczeństwa, w „wietrze od morza” szukał lekarstwa na polski Smutek, w morzu widział ujście dla niewyzyskanych i w sobie się trawiących sił polskiego entuzjazmu, on — tułacz dostojnej polskiej bezdomności, w której imię wywalczył sobie chlubne obywatelstwo w wolnej Rzeczypospolitej — z piany marzenia wznosił „szklane domy” idealnej polskiej przyszłości.

Jako autor „Wiatru od morza” stał się kimś więcej, niż dziejopisem naszych walk o wybrzeże i o duszę ludu pomorskiego: jest dziś patronem polskiej morskiej propagandy, wieszczem natchnionym realnych poczyną, urzeczywistnianych wysiłkiem zbiorowym w planowym trudzie, jeszcze jednym dowodem, że nie tylko życie zapładnia sztukę, ale i sztuka stwarza życie.

Z polskiej poezji powojennej morze nie wydobło nic poza drobnymi falami liryzmu, nie zarwało brzegów wrażliwości artystycznej żywiołową pasją. Poeci nasi reagują na morze zgodnie ze swą indywidualnością, ale bez specjalnego wstrząsu. Dla Illakowiczówny np. morze będzie zawsze tragicznym odpowiednikiem przeżyć wewnętrznych; dla Pawlikowskiej — lustrem, w którym przegląda się jej kapryśna kobiecość; dla Wierzyńskiego — terenem sportowego igrzyska; dla Tuwima — źródłem djonizyjskiego upojenia.

W prozie dwaj młodzi pisarze z temperamentem traktują tematy morskie. J. Bohdan Rychliński, były marynarz, podchodzi do morza od strony żeglarskiej przygody („Mah-jong”, „Róża korsarska”). Jego postaci biorą legendarną niemal tężyzną ducha i ciała, reprezentują rasę polskich wikingów, rasę wymarzoną, ale, niestety, jeszcze nieistniejącą.

Stanisław Marja Saliński, urodzony i wychowany na Dalekim Wschodzie, dał dotychczas tylko jeden tomik egzotycznych nowel, które wzbudziły ogólne zainteresowanie młodzieńczym, nieco romantycznym patosem, z jakim autor kreśli szaleńcze zmagania się człowieka z rozszalałym żywiołem.

Obaj ci młodzi „maryniści” prozy ujawniają jedną wspólną tendencję: skłonność do tworzenia typów ludzkich, ponad miarę powszednią wyrosłych. Jest to niewątpliwie oddziaływanie wychowawcze wpływów Conrada. Drobiazgowo studja nad kompozycją i techniką tego mistrza głębin niewątpliwie przyczyniłyby się do pokierowania tych młodych, nieopanowanych talentów we właściwe łóżyisko.

S. P. O.

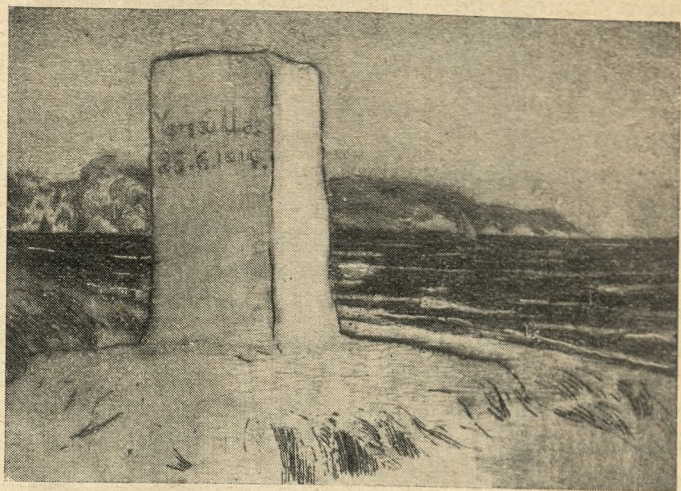
MORZE I SZTUKA

Gdy chodzi o naświetlenie zjawiska, o wydobywanie podskórnych, nieuświadomionych relacji, o nadanie nowego wyrazu milczącej jeszcze, niewprowadzonej w obieg, prawdzie — sztuka wyprzedza życie. Nie domyślamy się często, nie chcemy zresztą wierzyć, że taki a taki niewzruszony, trwały, „ostateczny” stosunek nasz do rzeczy narzucili nam poprostu — artyści.

Patrzymy na świat zawsze od tej strony, od której spoglądało nań poprzedzające nas pokolenie ludzi tworzących, w swoim czasie odsądzane przez laików od czci i wiary — zupełnie tak samo, jak dziś od czci i wiary odsądzani są nasi współcześni „moderniści”, których hasła staną się przecież — z żelazną koniecznością — kanonem wiary dla naszych dzieci...

Sztuka obchodzi się z życiem, jak władca absolutystyczny — jeżeli chodzi o *stosunek do rzeczywistości*. Ale samej tej, otaczającej nas rzeczywistości, sztuka nie stwarza. Kształtuje się ona już bez niczyjej pomocy, a ostatnimi czasy przetwarza się z niesamowitą wprost szybkością. I sztuka staje wobec niej zacofana i bezradna, jak kokosz nad kaczmi jarami, z których piskłeta wypłynęły na szeroką wodę i doskonale sobie tam radzą.

Zagadnienie: „jak?” — jest zawsze ważniejsze w malarstwie, niż zagadnienie „co?”. Temat, jako taki, jest rzeczą wtórną wobec drogi, którą artysta do tego tematu podchodzi. Stare to już prawdy. Lecz samaż owa droga, sam ów chwyt drapieżny, z którym rzuca się malarz na owo odtwarzane jabłko, czy pałac, czy akt kobiecy — sam *kierunek spojrzenia malar-*



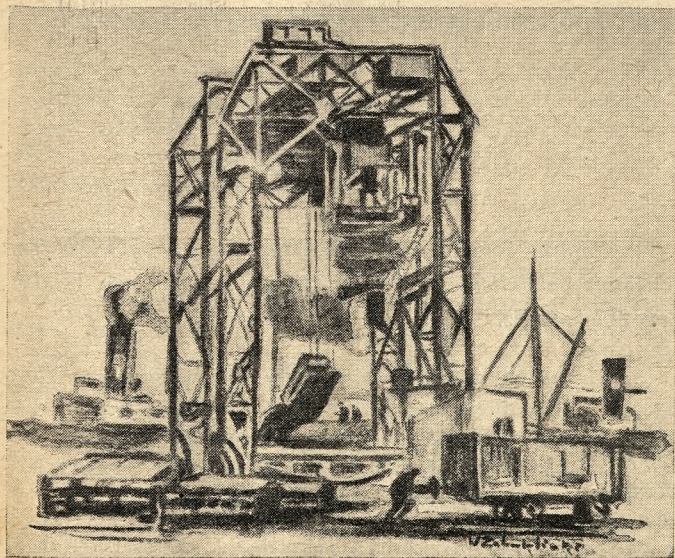
Zofja Stankiewiczówna: „Słup między Sobotami a Orłowem”.

skiego — musi być uwarunkowany istniejącym już zdawien dawna, nawarstwionym, wżartym niemal w psychikę pokoleń — kręgiem obiektywnej rzeczywistości. Nie jest ważne bowiem to, co malarz na płótnie stworzy, ale ważne jest to, z czego — często sam sobie tego nieuświadamiając — czerpie najgłębszy, elementarny impuls do tworzenia. I w tym sensie można by zaryzykować twierdzenie, że położenie geograficzne Florencji, czy Haarlemu wpłynęło niesłychanie na jedno, drugie i setne arcydzieło.

Ziemia szerokich, rozłożystych równin, ziemia lasów i pól, sennych stawów i spokojnych rzek. Taką odbija się Polska w naszej twórczości malarskiej. Nie mieliśmy morza, burzliwego, nieobliczalnego spólczynnika wiecznych przypływów i odpływów, siły elementarnej, budującej jednolitą powierzchnię i zarazem nieprzerwanie tę powierzchnię różnicującą. Nie znaliśmy uderzeń tego wiatru słonego, który przynosi ze sobą przecucie nieznanych, egzotycznych, nieprawdopodobnych zapachów, — a z nimi kolorów i kształtów.

Tak bardzo uciekała nam z pod nóg własna, szara, płaska ziemia, że jej właśnie, i tylko jej, chwyciliśmy się wszystkimi siłami. W swej bliskości była ona nam chwilami tak daleka, że nawet tęsknotą nie sięgaliśmy poza nią.

Nie chodzi tu bynajmniej o nasze malarstwo pejzażowe, o to, że *morze* nie stanowiło niemal nigdy obiektu polskich dokonań malarskich. Chodzi właśnie o ów impuls zasadniczy i podświadomy, o grę utajonych wpływów i pobudek. I choć to może wydawać się paradoksem, ten fakt polityczno-geograficzny, że przez tak długi okres pozbawieni byliśmy do-



Wacław Zaboklicki: „Wielki dźwig w Gdyni”

stępu do morza — zaważył przecież w ogromnej mierze nad sprawą jakości polskiej sztuki.

Nasze malarstwo jest — od strony kolorystycznej rzecz biorąc — z małemi wyjątkami, statyczne. Tematycznie, a nawet formalnie, jeżeli chodzi o charakter linii, kompozycji — nie brak w niem ruchu, temperamentu, rozpędu. Lecz barwa i faktura — ów podskórny obieg w organizmie malarskim — są w naszej sztuce, ogólnie rzecz biorąc, raczej wartościami statycznymi. Naszym obrazom brak po największej części owego ukrytego drżenia, wibracji kolorystycznej, która sprawia, że pierwszy lepszy obraz, francuski na przykład, czyni wrażenie czegoś żywego, czegoś, w czym organicznie zdają się przepływać w sobie wzajemnie utajone energie. Płaszczyzny barwne w naszych obrazach, zestawiane ze sobą nawet kontrastowo, często dając wrażenie nawet jaskrawości i orgjastyczności kolorów — nie są dostatecznie różnicowane, od wewnątrz, możnaby rzec, wyświetlane. Jest to cecha charakterystyczna całego niemal polskiego malarstwa XIX w. i pierwszych lat naszego stulecia.

Morze — to okno otwarte na daleki świat. Wiatr, lecący od morza, w specjalny, odrębny sposób urabia psychikę człowieka — i kształtuje rękę malarza.

W Polsce dzisiejszych dni życie wyprzedza sztukę. Pędzi naprzód olbrzymiemi, radosnymi skokami, naprzód — aż nad brzeg siniego Bałtyku. Niespokojna, migotliwa, szaro-zielona, a w swą szarość przecież tysiąc-kolorowa i po tysiąc razy załamana, fala drży pod naporem wiekuistych głębinowych sił. Artyści o oczach widzących — patrzą.

Tematycznie — morze słabo nadal interesuje naszych plastyków. Rzetelne wysiłki w kierunku nie-



Zofja Stankiewiczówna: „Chata kaszubska”

jako „spopularyzowania”, „rozpowszechnienia” plastycznego tej groźnej wielkości, zawdzięczamy p. Nałęczowi, który stara się nawet o stworzenie całej „szkoły marynistów”. Poważny zbiór pejzaży morskich na również w swym dorobku p. Zaboklicki (ukazało się piękne wydawnictwo: „Gdynia” z planszami tego kulturalnego artysty). Pozatem właściwie — cicho, — poza kilku malarzami, którzy, pracując zagranicą, „puszczą” od czasu do czasu na płótno jakiś kawałek Adrjatyku, czy innego Śródziemnego. Ale nie to jest ważne.

Gdy już psychika polskiego artysty żyje się, zasymiluje z morzem — przepłynie prąd tajemniczy łożyskiem polskiej plastyki. I choćby nawet morza, i miast portowych, i okrętów nikt nie malował — wspałała siła przypływu i wiecznego falowania ujawni się przecież pośrednio w sposobie odtwarzania rzeczywistości. I tak, zwykłą rzeczy koleją, odmieni się do tej rzeczywistości stosunek. I dzieci naszych dzieci — nauczone przez nasze pokolenie artystów — spojrzą na świat spojrzeniem, dla nas jeszcze niedosiężnym: spojrzeniem ludzi, związanych z morzem. l. j.

Z KSIĄŻEK

Gdynia i morze polskie. Osiem kompozycji barwnych Wacława Zaboklickiego. Teksty Stefana Żeromskiego. Wydał Jakób Mortkowicz.

Sliczna pamiątka dziesięciolecia morza polskiego. Do subtelnych, jakby przez mgłę oglądanych kompozycji najlepszego bodaj naszego marynisty dobrano krótkie urywki z „Wiatru od morza”, wieszce słowa poety, które tak rychło stały się ciałem. Plansze barwne, wykonane w drukarni W. L. Anczyca w Krakowie, tekst odbity w Drukarni Naukowej T-wa Wydawniczego w Warszawie, bez zarzutu. Całość o dużej wartości artystycznej i propagandowej, może być cennym podarkiem i ozdobą każdego domu polskiego.



Włodzimierz Nałęcz: Okręt „Złociste słońce” z w. XVI



Mikołajki

CZEGO OCZEKUJE OD NAS MORZE

Symbolem bursztynowego brzegu jest typowy okaz flory miejscowej: „Mikołajek”. Mikołajek — to pięknie zarysowany krzew ostu o srebrzystych, miernie wykrojonych liściach i licznych blado-liljowym, jakby puszkami srebrnym przysypanym kwiecie. Mikołajek jest pełen poetycznego wdzięku, pełen niewysłowionej odporności, rośnie bowiem na litym piasku, rośnie, rozwija się i trwa wbrew ubóstwu gleby, wbrew szarpiącym go wichrom i burzom! Nietylko, że przystroja piaszczyste wydmy, ale utrwała je, zespala i dodaje odpornej mocy. Niedarmo też otacza go opieką prawo, karząc bezmyślne wrywanie krzewów.

Mikołajek przetrwał wieki polskiej potęgi — tę epokę, kiedy to Ojczyzna nasza panowała „od morza do morza”, przetrwał długi okres niewoli, aż wreszcie zakwitł na wyzwolonym z pod przemocy wroga — bursztynowym brzegu!

*

W okresie zamknięcia pierwszego dziesięciolecia naszego władania morzem doszukuję się momentu najodpowiedniejszego do zrobienia uczciwego rachunku sumienia. Zapytuję, czy polskie morze nie znajduje się czasem w sytuacji tego, kto hojną ręką rozdaje nieprzeliczone skarby, ufny w przepaścistość szkatuły bez dna, z jakiej sypać się będą wiecznie nowe dobrodziejstwa i łaski, a do której zamczystego wieka stuka tysiąc pożądlivych dłoni — na jedną ofiarną?

Dbałość o polskie wybrzeże, współpraca nad doprowadzeniem go do wzorowego porządku, trwałe i estetyczne zabudowanie, postawienie na mocnych podstawach zdrowego dobrobytu — to obowiązkiem wszystkich tych, którzy rok rocznie wracają do

maleńkich chat rybackich, do dworców, willi i „Domów Kuracyjnych” po radość życia, po tężyznę cielesną i duchową, po zdrowie.

Nie należy wyobrażać sobie, że nikły napozór czyn jednostki jest czemś oderwanym, niepotrzebnym akordem w symfonii wielkich poczyną. Z tych maleńkich czynów, z tych groszy, przywiezionych na polskie wybrzeże, z sumiennej i fachowej pracy nad dobrze zagospodarowanymi i wzorowo prowadzonymi jadłodajniami, pensjonatami, pralnią, sklepami, wznoszeniem placówek kulturalnych, wypożyczalni książek, doskonale zaopatrzonej czytelnicy, estetycznie pobudowanych i wzorowo utrzymanych domków i willi — z tej mrówczej pracy wszystkich i każdego może dopiero powstać dzieło wiekopomne i doskonałe.

Krytyka, jaką tak często słyszymy, w jakiej, niestety, chętnie przewodniczymy, nie zaprowadzi nas daleko po drodze ulepszeń i bogatych w skutki poczyną. To prawda, że w nadmorskiej miejscowości poza granicami naszego kraju można za tę samą, a często nawet i znacznie niższą cenę mieć maximum kulturalnych wygód i przyjemności; że na zapytanie, czy w danym pensjonacie znajduje się w każdym pokoju umywalnia z wodą bieżącą, nie usłyszy się w odpowiedzi rozczulającego prostotą objaśnienia: „u mnie jest też woda bieżąca, bo ją na każde zawołanie Marysia dzbankiem do pokoju przyniesie”, a na usprawiedliwione rozczarowanie, wywołane prymitywem wewnętrznych urządzeń, nie przyjdzie takiemu zagranicznemu fachowcowi do głowy odpowiedzieć: „Pokój jest poto, żeby się w nim przespąć — dzień należy do morza...”

Tak, „dzień należy do morza”, ale zrozumieniu



Tak mygląda rozbudowa Helu.



Sprzęt rybacki

tego przypadkowego określenia musimy poświęcić o wiele więcej uwagi i wnikliwości, niż to naogół czynimy. „Należy” nie powinno tu być rozumiane jednostronnie. Nie wystarczy bowiem plawić się w słońcu i ciszy, kąpać i wypatrywać śnieżno-białych żagli na błękitnej wód przestrzeni, a potem zasiąść do stołu, by grymasić przy każdym daniu, robić ważne porównania tego, co u nas, a tego, co zagranicą dają za jedne i te same pieniądze, i przysięgać sobie, że, gdy stanieją paszporty, „nikt mnie w tej dziurze nie zobaczy”.

Miłość nasza do polskiego morza nie może być bierna — musi być czynna. Musi dawać ze siebie, i to dawać rozumnie i planowo, chociaż małą częśćką tego, co bierze. Za pocałunek fali, za żywiczną woń nadbrzeżnych lasów, za wschody i zachody słońca, księżycowe noce, cudowną grozę morskiej nawałnicy i najcudowniejszą ciszę dnia rozświeconego — ma prawo żądać od człowieka nateżenia wszystkich sił twórczości i pracy, ma prawo żądać tego, aby mu dał prócz tej wspaniałej ramy, stworzonej przez naturę, jeszcze i oprawę, jaka mu się należy od narodu cywilizowanego. Uporządkowanie i wzorowe urządzenie wybrzeża uważamy naogół za sprawę, należącą do całokształtu gospodarki państwowej; jednakże w tym, jak i w wielu innych wypadkach, bez uczciwej i rozumnej współpracy społeczeństwa sprawa ta długo nie będzie mogła stanąć na wyżynach. Dlatego też do najdalszych zakątków, do wiosek zapadłych, brzegów urwistych, docierać powinien twórczy czyn i prywatna inicjatywa — nie ta, której największym nasileniem jest chęć „wyduszenia” z krótkiego sezonu maximum złotych polskich, a ta, która, nie gardząc dorobkami osobistymi, zna jednak coś więcej ponad brzęk złota w dobrze napelnionej sakiewce.

Czego zatem oczekuje od nas morze? Jaknajliczniejszego złotu, sumiennej gospodarki, tworzenia Kół t. zw. „przyjaciół” poszczególnych miejscowości, które to Koła są

w stanie nie tylko zwrócić uwagę sfer miarodajnych na potrzeby i braki danej miejscowości, ale i własnymi siłami zdziałać wiele; wreszcie — wyzbycia się destruktoryjnej *pobłażliwości* na podstawowe niedobory przez opieszałość w żądaniu tego, co nam się słuszenie za ciężko zapracowanv grosz należy, żąda tej wspomnianej już raz przezemnie miłości *czynnej*, pod której skrzydłami polskie wybrzeże rozwinie się ku chwale Polski. Trudno pominąć jeszcze jeden z obowiązków, jaki ciąży na barkach „pielgrzymów”, co idą bić pokłon morzu. Powinni oni pamiętać o tem, że kształtują poniekąd ustosunkowanie się ludności miejscowej do Polski. Kaszubi po pierwszym uniesieniu, wywołanem przynależnością do Wolnej i Niepodległej, ochłodli, spochmurnieli, zamknęli się w sobie i — przykro napisać to tak czarno na białem, ale — zaczęli żałować dawnych porządków. Rozgoryczenie to było chwilowe — minęło wraz z niedoborami gospodarczej natury. Dzisiaj kaszub zbliżył się do Ojczyzny nie tylko sercem, ale coraz solidniej napelnioną kieszenią; jednakże, wychowany przez falę morską, zachował i zachowa po wieki naturę zgoła od naszej odmienną: prawość i prostolinijność sądu, poczucie godności i poczucie wyłącznego prawa do Polskiego Bałtyku. Tylko za naszą sprawą przepaść, jaka istniała i jeszcze istnieje pomiędzy nimi a nami, wyrównać się może czemś dostojniejszym i trwalszym, niż posmak zwożonego na

wybrzeże morskie grosza i dobrych interesów, robionych na „letnikach”

Aby stać się częścią tego wału ochronnego, który obroni nasze wybrzeże przed wiecznie czyhającym apetytem wroga, musimy zjednoczyć się wszyscy w zgodnym, zbiorowym, twórczym czynie, wrosnąć w grunt sercem, i rozumnie kochającym sercem umocnić i utrwalić tak, jak utrwala go miłującymi korzeniami symboliczne „Mikołajki” — kochać czynnie bursztynowy brzeg i błękitną falę polskiego Bałtyku!

Wanda Dobrzańska.



Jedna z milli w Orlowie

MORZE NA EKRANIE

Morze! Ileż słowo to budzi tęsknot, pożądań, ambicji! Ie — wizyj historycznych, politycznych, poetyckich, malarz-
skich i — sportowych! Kto nie kocha morza? Kto go nie zna?

Dziś, kiedy już mamy „nasze morze“, kiedy jest ono dla każdego dostępne, bliskie, swoje — nie zdajemy sobie sprawy, że jednym z najważniejszych łączników między nami, szczyrami lądowymi — a bezkresem oceanów i ich syrenim ludem — był przedewszystkiem ekran. Tam, w niezliczonych filmach francuskich, niemieckich i amerykańskich nauczyliśmy się poznawać duszę morza, rozłożoną na pierwiastki, nauczyliśmy się oddzielnych tonów i pełnego brzmienia tej symfonii żywiołu, śledziliśmy jego tajemnicze związki z losami ludzi, rzeczy i całych kontynentów.

Przez okno ekranu wyjeżdżaliśmy najczęściej drogą wodną w daleki świat przygód, zawijaliśmy na barkach, trójmasz-
towiecach i transatlantycznych olbrzymach do nieznanych portów, poznawaliśmy życie ludzi czarnych, żółtych i czerwonych... Zasmakowaliśmy w słonym powietrzu oceanu, zbliżyliśmy się z „pracownikami morza“ na przestrzeni wichrów — z zastępami konkwistadorów, podróżników, piratów, nurków, rybaków, marynarzy... Błaski i nędze, uroki i niebezpieczeństwa życia na morzu oglądaliśmy w tysiącnych filmach dokumentalnych i artystycznych.

Tak samo, jak literatura ma swego Conrada, tak samo kino ma swoich „marinistów“ (Baroncelli, Turżański), którzy z tematów morskich tworzą wzrokowe poematy. Od „Wyspy zatopionych okrętów“ do „Białych cieni“, od „Łodzi podwodnej“ do „Atlantyc“*) — co za olbrzymia skala wrażeń, których dominantą jest morze — łagodne, czy burzliwe, oddające chętnie lub niechętnie dary swe człowiekowi, walczące z nim, lub będące jego sprzymierzeńcem.

„Fotogeniczność“ wody jednocześnie utrudnia jej oryginalne



Scena z filmu: „Pod banderą miłości“

nalne ujęcie. Morze jest zawsze żywe, ruchliwe, rytmicznie pulsujące, i na najgorszym zdjęciu nie traci swego uroku. To też trzeba być prawdziwym mistrzem, żeby pokazać morze w jego zmienności i wieczystości jednocześnie — znaleźć odpowiednią perspektywę, aby na tem tle umieścić człowieka — jego małość i wielkość zarazem.

Filmy amerykańskie specjalnie umieją zużytkować morze, jako tło do komedij, w których sport i gry wodne (żeglarstwo, wodne polo, aquaplany, wyścigi motorówek i t. p.) są, jeżeli nie ośrodkiem akcji, to kulminacyjnym efektem. W filmach tych widzimy, jak ten bezkresny, tajemniczy ocean może nagle stać się bliskim i nieodzownym towarzyszem pierwszego lepszego mieszczucha, o ile tylko ten zaśnieździły mieszczuch zechce raz zakosztować rozkoszy odetchnięcia czystym, morskim powietrzem.

Komedje amerykańskie umieją tak samo propagować miłość morza, jak umieją propagować szacunek dla służby bezpieczeństwa, lub wiarę w zwycięstwo cnoty nad występkiem.

My, niestety, nie potrafimy w filmie pokazywać morza, ani ze strony artystycznej, ani — dydaktycznej. Nasze filmy morskie — to poprostu... oleodruki. Nasi reżyserzy, a zwłaszcza scenarzyści, podchodzą do morza, jak nieśmiały kochanek, który zbliża się do swej lubej zawsze z pewną obawą, czy nie jest dlań źle usposobiona. Patrząc na te niezmiennie spokojne wody, omywające łagodne brzegi, ma się wrażenie, że operator prosił je o „przyjemny wyraz twarzy“.

Po dziesięciu latach współżycia z morzem, piękno Bałtyku, tak dalekie od cukierkowatości, powinnyby znaleźć na ekranie swój właściwy wyraz. Czekamy na scenarzystę, który potrafi tak opracować „temat morski“, żeby reżyser i operator nie byli w kłopotcie, co z tym fantem zrobić. Morze — to też swego rodzaju „Miss Polonia“. Trzeba umieć we właściwy sposób zaprezentować je światu i — sobie samym.

Stef. H.



Scena z filmu: „Pod banderą miłości“

*)film ten zobaczymy wkrótce, jako dźwiękowy.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

PANI KOMENDANTKA PORTU.

Dwudziestojedenletnia Miss Stella Gale została komendantem fortu Paignton w hrabstwie Devonshire. Jest to pierwsza kobieta na tem stanowisku w imperjum brytyjskiem. Miss Gale, po ukończeniu szkoły średniej, odbyła studja inżynierskie i praktykę w zakładach swego ojca w Paignton, przez cały ten czas jednak zajmowała się z zapalem żeglarstwem. Należała do załogi yachtu „Błękitny Ptak“, który zdobył cały szereg nagród na wyścigach, występowała też wielokrotnie na własnej łodzi motorowej. Znała pozatem doskonale wszystkie kluby i całą załogę portu w Paignton tak, że gdy zgłosiła swą kandydaturę na komendanta, pomimo jej młodego wieku i dużej liczby kandydatów, kompanja portowa przyznała jej pierwszeństwo.

WIECZÓR TWÓRCZOŚCI KOBIECEJ.

Założone niedawno Towarzystwo Przyjaciół Sztuki urządziło już w przeciągu krótkiego czasu kilka koncertów i... o dziwo! Sala kameralna Filharmonji nie jest w stanie pomieścić wszystkich słuchaczy...

Poprzednie koncerty poświęcone były twórczości Chopin'a, Paderewskiego, Adama Wieniawskiego oraz młodych kompozytorów: Wąsowicza i Wielhorskiego.

Ostatni wieczór zapoczątkował cykl audycji; p. t. „Muzyka, pieśń i słowo w twórczości kobiecej“. Słowo wstępne wypowiedziała pani Marja Biernacka. Barwnie i treściwie scharakteryzowała twórczość kobiecą od czasów mitologii po dzień dzisiejszy, mówiąc głównie o polkach.

Rozporządzając bardzo krótkim czasem, prelegentka zmuszona była ograniczyć się do wymienienia najbardziej znanych muzyczek, malarek, literatek i poetek.

Panie Halina Czerniawska i Halina Walserowa bardzo ładnie wypowiedziały kilka utworów R. Czekajskiej-Heymanowej, Szelburg Zarembiny, J. Porazińskiej i M. Pawlikowskiej. Wykonano szereg utworów kobiet-kompozytorek, a więc kilka bardzo oryginalnych pieśni Zofji Ossendowskiej odśpiewała pani Jadwiga Pankiewiczowa; akompanjowała p. Jadwiga Zaleska.

Wyczarowała nastrój wschodu pani Stanisława Korwin-Szymanowska (przy fortepianie p. Feliks Szymanowski) pieśnią „Taniec czarnych błaznów“, zmuszona odśpiewać ją dwukrotnie. Zapoznaliśmy się też bliżej z twórczością muzyczną Zofji Ossendowskiej, która po powrocie z Afryki i Indyj skomponowała szereg nader oryginalnych utworów. „Légende africaine“ oraz „Hidalgo e gitana“ (Andaluza), grana zagranicą przez wybitnych skrzypków, jak J. Thibaud, oraz Baisy Kennedy, która umieściła ją ostatnio, jako końcowy numer na koncercie w Kings Hall'u w Londynie, powinna zainteresować naszych skrzypków, jako kompozycja charakterystyczna barwna i popisowa.

Inteligentnie wykonała ją wczoraj na skrzypcach kompozytorka razem z panią Zaleską, która pozatem z wielką brawurą odegrała solo na fortepianie „Nokturn na Niagarze“ i „Mudżahid“.

Pani Lucyna Robowska, orędowniczka młodej polskiej twórczości i wierna jej propagatorka zagranicą, pięknie wykonała utwory H. Łopuskiej, L. Wojciechowskiej, H. Dorabalskiej i M. Tybickiej, bisując śliczny „Oberek“ L. Wojciechowskiej.

Pieśni Białkiewiczówny i Obtulowiczówny, w muzykalnem wykonaniu pani Wandy Dziadulewiczowej, wypełniły ten bogaty i urozmaicony program.

Huczne oklaski tłumnie zebranej publiczności nagrodziły możną pracę organizatorek.

KOMITET UCZCZENIA CURIE-SKŁODOWSKIEJ.

Z inicjatywy bydgoskiego oddziału Zw. Pracy Obyw. Kobiet odbyło się w Bydgoszczy zebranie stowarzyszeń kobiecych, bardzo licznych w tem mieście, na którem utworzył się miejscowy Komitet uczczenia Marji Skłodowskiej-Curie. Zadaniem Komitetu jest zbieranie na terenie miasta i okolicy funduszków na Instytut Radowy. Komitet rozwija b. ożywioną działalność.

RUCH KOBIECY ŚRÓD EMIGRANTEK W POLSCE.

Od roku 1921 istnieje w Warszawie Związek Ukraińek-Emigrantek, jednakże dopiero od 8 grudnia 1929 wstępuje on na drogę wzmoczonej akcji społeczno-politycznej.

Rozpoczyna ją okólnik, rozesłany przez Zarząd Związku do wszystkich kobiet na emigracji, z wezwaniem ich do wspólnej akcji patriotycznej w celu informowania międzynarodowych organizacyj kobiecych o rzeczywistym stanie rzeczy na Ukrainie i domagania się prawa zasiadania z kobietami innych krajów na międzynarodowych kongresach i konferencjach.

Oprócz tej czysto ukraińskiej organizacji, powstała przy klubie ukraińskim „Prometej“ sekcja kobieca, do której wchodzi przedstawicielki wszystkich mniejszości narodowych, zamieszkujących terytorjum b. Południowej Rosji: Azerbejdżanu, Donu, Gruzji, Idel-Uralu, Kubanu i Północnego Kaukazu.

Celem klubu jest zbliżenie na tle kulturalnem i towarzyskiem uchodźców z wymienionych krajów.

Do honorowych członków klubu „Prometej“ należy szereg działaczy polskich, jak: Janusz Jędrzejewicz, Adam Koc, Aleksander Lednicki, Leon Wasilewski i inni.

Przewodniczącą sekcji kobiecej tego Klubu jest p. Walentyna Zawadzka.

W skład zarządu Związku Ukraińek-Emigrantek wchodzi: pp. Marja Liwicka (przewodnicząca), Nina Salikiwska, Walentyna Zawadzka (sprawy zagraniczne i feministyczne), p. Bezrueczko i inne.

NASZ DODATEK POWIEŚCIOWY

W dodatku powieściowym podajemy nowelę „Hanumica“ autorki serbo-chorwackiej, Werki Szkurli Hlijicz, urodzonej w Dalmacji, wdowy po lekarzu, z powołania nauczycielki.

Mieszkając czas jakiś w Sarajewie, należała ona do ugrupowania młodych pisarzy, nie związanych żadnym programem, ale dążących do kultywowania literatury serbo-chorwackiej, a „in spe“ — do założenia akademji tejże literatury w Sarajewie.

Pierwsza praca tej młodej autorki była odznaczona na konkursie literackim w Belgradzie (nowela „Han“ — zajazd). Następnie ogłosiła „Hanumicę“. Dramat „Iwanje“ (noc świętojańska) czytała autorka w Kółku Towarzystwa literackiego. Ostatni jej zbiór nowel „Djiewczanstwo“ wydała „Zabawna biblioteka“ 1929 r.

W noweli „Hanumica“ autorka opisuje dokładnie, ale dyskretnie, a nawet z pewnym poetyckim wdziękiem, zwyczaje konserwatywnych muzułmańskich rodzin w Bośni. Zwyczaje te są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Treść opowiadania jest wzięta z życia, z przed lat 30-tu: niektóre z opisywanych osób były osobiście znane tłumaczce, pani Teodorze Krajewskiej, która szereg lat praktykowała w Sarajewie, jako doktor medycyny. Wyzwalanie się muzułmanki zrobiło ostatnimi czasy i w Bośni ogromne postępy. Obserwowanie przestarzałych tradycji istnieje jednak i teraz po wsiach i małych miasteczkach, zdala od centrów kultury i postępu.

ŚLEDŹ

Wobec Wielkiego Postu ryba sezonowa i tak niezbędna, jak chleb, mięso, tłuszcz, nabiał i kartofle. Śledzie je każdy — od smakosza, rozporządzającego poważnymi środkami finansowymi i ogromną erudycją gastronomiczną, do najbiedniejszego wyrobnika, tłukącego kamienie na szosie. Śledź jest produktem pierwszej potrzeby dla wszystkich.

Po głuchych wsiach i małych miasteczkach musi on zastąpić wszelkie inne ryby, wszelkie inne przekąski; staje się głównym pożywieniem całej ludności chrześcijańskiej w dnie postu, jak jest stałym, codziennym pożywieniem mas żydowskich.

Nie wszędzie umieją konserwować, solić śledzie na dłuższe przechowanie. Znamy śledzie norweskie, szkockie, holenderskie. Przed wojną mieliśmy olbrzymie śledzie astrachańskie z Kaspijskiego morza.

Śledzie norweskie, bardzo duże, o mięsie białym i twardym, cieszą się dużym powodzeniem na wsiach i w sferach najmniej wybrednych mas robotniczych — głównie dla swego dużego rozmiaru i wielkiej ilości soli (zalety, mniej cenione przez ludzi o guście wykwintniejszym, bardziej wyrobionym). Nie należy jednak pogardzać śledziem norweskim. Umiejętnie użyty, może dać szereg zupełnie smacznych potraw. Należy go tylko doskonale wymoczyć i używać bądź do dłuższego marynowania (szczególnie domowe rolmopsy z niego są zupełnie smaczne), bądź do smażenia, czy do rozmaitych kotletów, farszów, zapiekane. Wogóle może on zastąpić w zupełności świeżego śledzia, wyborną, pożywną i taną rybę, używaną już stale przez ludność miast większych, niestety, jednak, wskutek fatalnych warunków przewozowych i braku przedsiębiorczości naszych kupców, niedocierającą jeszcze do małych miasteczek na dalszych kresach. Po tych małych miasteczkach, używano właśnie przed wojną owych ogromnych „Astrachanek“, do których śledź norweski z kształtu, wielkości i smaku najbardziej jest zbliżony.

Śledź szkocki, znacznie mniejszy, delikatniejszy w smaku, o mięsie przeważnie białym, jest najbardziej znany, jako smaczna, niekosztowna przekąska. Co do koloru mięsa śledziowego, to zależy on jedynie od sposobu preparowania tej ryby. Wszystkie śledzie blade i mocno różowe, za życia i po uśnięciu mają mięso białe. Dopiero czas i sposób solenia i konserwowania oraz przyprawy, do tego używane, zmieniają ten kolor, przyczem różne odcienie różowego są pożądane w gatunkach wysokich i są dowodem małej wartości w gatunkach podrzędnych. Śledzia szkockiego używamy do wszelkich potraw postnych, do wszelkich marynat, do przekąsek, do siekania, do farszów — zawsze jest wyborny w smaku.

Śledź holenderski — król wszelkich śledzi. Z Holandji pochodzą śledzie „uliki królewskie“, dawniej tak sławne śledzie „pocztowe“ — nota bene tylko dlatego tak zwane, że pocztą, a nie wolnym jakimś transportem były sprowadzane. Specjaliści od handlu śledziami mają rozmaite nazwy dla rozmaitych gatunków i odcieni tych gatunków. Dla szerokiej masy spożywców niezrozumiałe są te „Matjasy“, „Matfulle“ i t. p.; żąda ona dobrego śledzia holenderskiego, zaczynając od zwykłego, tłuszczem opływającego „ulika“, do przedniego, grubego „ulika królewskiego“.

I rzeczywiście dobry śledź jest rybą, pełną nie-

powszednich zalet. Jedną z nich jest to, że się śledź nie przejada. Dowodzi to zresztą tylko raz jeszcze, że się stał produktem pierwszej potrzeby. Śledzia — szczególnie pod coraz to inną postacią i przyprawą — jeść można nieomal codzień, a nie radziłabym tego eksperymentu powtarzać z żadną inną rybą.

Doskonały przykład tego twierdzenia mamy na flondrach pomorskich. Ludność nadmorska spożywa je codziennie, przez rok prawie cały i zawsze z równym apetytem. Przyjezdni przez pierwsze dni parę zachwycają się ich smakiem, a po tygodniu bez obrzydzenia na nie patrzeć nie mogą.

Pomorze nasze obfituje też w rozmaite gatunki śledzi — od dużych, takich, z których robią wyborne wędzone piklingi, poprzez różne gatunki większych i mniejszych sielawek morskich, do drobnych, wyśmienitych szprotek włącznie. Jednak solenie śledzi, w taki sposób, jak robią to Norwegja, Szkocja i Holandja, stanowi wyłączną specjalność tych krajów. Śledzie solone w beczkach tak są wybornie spreparowane, że po lat parę i dłużej stać mogą, smaku prawie nie zmieniając. Mówię „prawie“, bo dla prawdziwego znawcy i smakosza nie jest wielką sztuką rozpoznać, czy śledź jest tegoroczny, czy starszy. Nie powinien on być też zbyt młody — młody w sensie zakonserwowania — gdyż nie rozwinął wtedy jeszcze wszelkich możliwości smakowych.

Dla zwykłych gospodyń mogą służyć wskazówki, jak rozpoznać śledzie starsze, zawsze mniej zdrowe w spożyciu. Jeżeli w beczce ropa śledziowa jest brązowa, rudawa, jakby rdzą żelaza przejęta, jest to zawsze dowodem, że śledzie są starsze. Bardzo stare nabierają nawet smaku rdzawego i takich stanowczo używać nie należy.

Podajam w numerze poprzednim i obecnym kilka przepisów łatwych i smacznych dań ze śledzi i parę sposobów ich marynowania.

Pani Elżbieta.



JAJECZNICA ZE ŚLEDZIEM

Dwa, lub trzy (zależnie od wielkości) śledzie, dobrze wymoczone, obrane ze skórek i ości, posiekać niezbyt drobno. Tak samo posiekać parę cebul hiszpańskich lub cukrowych. Ładny rendelek nikłowy lub platerowany, w którym można tę potrawę podać do stołu, postawić na blasze ze sporym kawałkiem (10 deka) masła. W tem maśle zasmażyć naprzód cebulę; gdy już utraci surowiznę, dodać śledzie, a gdy i te się usmażą, odrobinę popieprzyć i wlać w to szklankę dobrej śmietany. Odstawić od ognia. Sześć jaj świeżych rozbić dobrze z sześcioma łyżkami mleka, lub lepiej śmietanki, lekko osolić i wylać na masę śledziową. Nie mieszać razem, tylko wstawić do pieca i trzymać w nim, aż się jajecznicza zetnie. Natychmiast podawać do stołu. Biorąc łyżką, sięgać aż do dna, aby jednocześnie położyć na talerzu obie warstwy tej wybornej śniadaniowej lub kolacyjnej potrawy.

SLEDZIE MARYNOWANE W OLIWIE

Dobre śledzie-szmalcówki lub uliki wymoczyć niezbyt długo, wymyć starannie, wyjąć z nich wszystkie ości, odrzucić łby, nie zdejmować jednak skórki. Układać je w słoju lub głębokiej salaterce, przekładając cienkimi plasterkami cytryny ze skórką, lecz bez pestek, listkiem, pieprzem i zielem w ziarnkach. Polać obficie najlepszą oliwą. Przycisnąć talerzem lub porcelanową deseczką i ciężarkiem, aby oliwa pokryła śledzie. Trzymać w suchym, chłodnym miejscu. Na trzeci dzień po zamarynowaniu są najsmaczniejsze. Stać mogą do dziesięciu dni.

MASŁO SLEDZIOWE

Może wybornie zastąpić masło sardelowe, co jest tem cenniejsze, że sardeli w wielu dużych nawet miastach dostać nie sposób. Dobrego, miękkiego śledzia-ulika wymoczyć, obrać z ości i skórki, posiekać i utłuc dokładnie w moździerzu z dziesięcioma deka śmietankowego masła. Odrobinę popieprzyć, wciśnąć sok z pół cytryny, wyrobić doskonale łyżką i przełożyć do maselniczki, lub też uformować gładki wałeczek i wynieść na chłód dla zastudzenia. Takie masło, pokrajane w plasterki, podaje się do karpia na niebiesko i do innych ryb gotowanych. Gdyby masło nie było dosyć gładkie, czyli, gdyby śledź nie połączył się doskonale z masłem, można je jeszcze przetrzeć przez rzadkie, druciane sito; zwykle jednak jest to zbyteczne.

Pani Elżbieta.

KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Miesięczne zebranie Koła S. G. D. odbyło się w lutym r. b. w Sali Centralnego Towarzystwa Rolniczego (Kopernika 50).

P. Iza Mandukowa — przewodnicząca — powiadomiła panie o uruchomieniu Kursu gospodarstwa domowego i udzieliła zebranym szeregu wiadomości.

1) Statut Koła S. G. D. został przez Komisarjat Rządu ostatecznie zatwierdzony, wskutek czego Koło jest uznane za samoistną jednostkę prawną.

2) Zostały uruchomione zapisy na II-gi kurs gospodarstwa domowego. Godziny dyżurów od 11-ej do 12-ej codzienne w lokalu Ziemianek (Marszałkowska 149).

3) Na marcowym zebraniu p. Marja Mąceńska wygłosiła pogadankę z licznymi pokazami udogodnień technicznych.

Następnie został wygłoszony referat programowy o „Dziecku w gospodarstwie domowym”, w opracowaniu p. Marji Ankiewiczowej.

Prelegentka w ogólnych zarysach skreśliła sylwetkę dziecka na tle gospodarstwa. Zaznaczyła, że pewien czynnik destrukcji, jaki dziecko wnosi do zajęć domowych, wypływa z niemiejności matek i braku fachowego przygotowania do roli gospodyni i wychowawczyni w jednej osobie.

Dziecko w życiu domowym nie może być przypadkiem, musi być natomiast zgóry przewidzianą koniecznością.

W okresie niemowlęstwa należy stworzyć mu odpowiednie warunki normalnego rozwoju; gdy zaczyna być samodzielne, trzeba zużytkować je w domu, jako siłę pomocniczą.

Za błąd szczególnie wielki uważa prelegentka usuwanie chłopców od udziału w zajęciach gospodarskich, co wywołuje w nich lekceważenie, przeistaczające się z biegiem lat w pogardę dla wszelkiej pracy w gospodarstwie domowym.

Koreferet p. Izy Mandukowej dał obraz współżycia dzieci z otoczeniem domowym w Stanach Zjednoczonych, gdzie zagadnienie współpracy dziecka w czynnościach gospodarskich dawno zostało jaknajpomyślniej rozwiązane.

Pani domu przeciętnej rodziny amerykańskiej znaczna część dnia krząta się przy gospodarstwie, a więc i w kuchni.

Wieczorem rodzina spożywa obiad również w kuchni. Z jadalni korzysta się w uroczyste święta, lub podczas przyjęć. Dlatego też p. Nena Wilson Badenoch w swym artykule p. t. „Wychowawcza strona kuchni”, który zamieszcza w jednym z ostatnich zeszytów „Ladies Home Journal”, czyni niezmiernie ciekawe uwagi na ten temat.

Możliwie zupełne zadowolenie i korzyści, jakie się osiąga z własnego domu, zależą — od kuchni. Z tego powodu, planując swój dom, należy całą uwagę skupić na mądre wyzyskanie każdego cala kwadratowego kuchni. Miejsce na każdy sprzęt musi być przewidziane, a każde poruszenie zgóry obliczone, gdyż praca powinna iść łatwo i przyjemnie. Dzieci w tem „laboratorjum” otrzymują pierwsze lekcje życia i zajęć gospodarskich. Tu można je szkolić we współpracy rąk i umysłu, ćwiczyć w dokładności, przyuczać do dyscypliny w ścisłym wypełnianiu poleceń, wreszcie dawać im pierwsze lekcje chemji i fizyki. Chłopcy potrzebują tych ćwiczeń narówni z dziewczętami.

Słusznem było powątpiewanie prelegentki, czy celowe jest tak rozpowszechnione u nas izolowanie dzieci od trosk i zainteresowań nietylko gospodarskich, ale nawet i osobistych. W istocie stosowanego przez nas kierunku wychowawczego jest przeznaczenie dzieci do jakichś wielkich, często bliżej nawet nie określonych celów, a jednocześnie odgradzanie ich od praktycznej i powszedniej strony życia.

Po tym referacie p. Melanja Zaleska podzieliła się z paniami nowymi wskazówkami o sposobie odżywiania niemowląt w wieku od 8-ku do 11-tu miesięcy.

Po skończonem posiedzeniu członkinie nabywały po cenach fabrycznych specjalne szczotki do podłóg i do kurzu, sita mechaniczne do mąki, wykonane u nas na wzór amerykański, pozatem herbatę, oliwę w puszkach i czekoladę.

Zademonstrowane zostały mydła higieniczne z gumy, które wzbudziły wśród pań żywe zainteresowanie i chęć nabycia. Sprzedaż przyrzeczono na następem zebraniu. *M. A*

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANIA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Podniesienie, czy obniżenie? (w odpowiedzi p. Mościckiej).

Długo, bo aż 2 tygodnie, zastanawiałam się nad treścią artykułu p. M. Rozpatrywałam sumiennie wszystkie pro i contra jej poglądów, brałam pod uwagę moje zacofane może i przestarzałe poglądy (choć mam dopiero 32 lata); mimo wszystko jednak, nie jestem w stanie zrozumieć ideologii, we wspomnianym artykule zawartej.

W mojem rozumieniu, kwestja rodzicielska w ten sposób ujęta, jak ją przedstawia p. M., nie jest przyznaniem matce praw macierzyństwa, lecz zwolnieniem ojca z obowiązków ojcostwa. Nie jest podniesieniem kobiety do człowieczeństwa, lecz obniżeniem mężczyzny do roli samca, żyjącego w stadzie, po nad którym wyżej postawiłbym musiała te zwierzęta, których samce, w rozumieniu swych obowiązków, dobrowolnie przyjętych, żyją w parach, przynajmniej do chwili usamodzielnienia się potomstwa.

Trzeba sobie uprzytomnić, czy dążenie kobiet do równouprawnienia rozumiemy, jako podniesienie kobiety w państwie, w społeczeństwie i w pojęciu moralnem do równi z mężczyzną, celem pięcia się potem wspólnymi siłami na twórcze wyżyny, czy też pragniemy obniżenia wartości mężczyzny i zajęcia jego miejsca w układzie stosunków.

W dysputach na temat nieślubnego macierzyństwa spotkałam się kiedyś z wysuwaniem w tej sprawie elementem litości, jakoby koniecznym kątem rozpatrywania sprawy. Miłość bliźniego, owszem, słuszną zasadą. Ale kto tu jest naprawdę tym, politowania godnym? Mojem zdaniem, przedewszystkiem i jedynie dziecko. Dziecko, pozbawione od najpierwszych chwil opieki i czułości ojcowskiej, pójdzie w życie z żalem do matki, która go miłości ojcowskiej pozbawiła, a naraziła na wiele niezasłużonych przykrości.

A współczucie matce nieślubnego dziecka, czemu? Dawała mu życie dobrowolnie i świadomie, bo w dzisiejszych czasach, zupełnie zresztą racjonalnego, pouczania młodzieży o życiu płciowem, nikt chyba w uwiedzioną nieświadomość nie uwierzy, tak, jak ona nie wierzy w bociana.

Dwojakie pobudki mogą kierować kobietą, która decyduje się dać życie dziecku, nie zapewniwszy mu pierwwej ojcowskiej opieki: albo zupełnie nie warta litości i uznania, chorobliwie wybujała zmysłowość, albo nieprzewyciężona chęć macierzyństwa, która jest bezsprzecznie uczuciem bardzo dodatniem i zasługującym na szacunek, ale... czy nie dajacem się zaspokoić w inny, bardziej godny człowieka, sposób?

Czy więc kobieta, niechcąca, czy niemogąca wyjść z małżeństwa, zrobi słusznie, oddając się pierwszemu-lepszemu mężczyźnie, z pełną świadomością, że

czyni to jedynie, aby dać życie dziecku, nie kładąc ani odrobiny uczucia w sam akt oddania się (mojem zdaniem, jest to ohyda), czy, też bardziej zasłuży sobie na szacunek i wdzięczność społeczeństwa, gdy przygarnie jedno z tych maleństw ludzkich, pozbawionych opieki i miłości rodzicielskiej, których tyle płacze się bezradnie w każdym społeczeństwie?

Poruszyłam tylko maleńką cząstkę tych refleksyj, które nasunął mi na myśl artykuł p. M. Wiele jeszcze dałoby się powiedzieć, choćby o stronie etycznej, czy praktycznej zagadnienia; może która z pań zechciałaby opracować te dziedziny i za pośrednictwem „Naszej Mównicy” podzielić się z nami swymi myślami? Stworzyłby się w ten sposób całokształt poglądów kobiet na sprawę nieślubnego macierzyństwa. Takbym pragnęła wiedzieć, po której stronie stanie większość naszych kobiet. Takbym chciała, aby mi odpowiedziano, czy apoteozowanie matki dziecka nieślubnego jest rzeczywiście nadaniem kobiecie praw macierzyństwa, czy też zwolnieniem mężczyzny z obowiązków ojcostwa!? *M. Świeżyńska — Toruń.*

Tylko ślubne matki (w odpowiedzi p. Łucji Mościckiej).

Z zainteresowaniem śledzę w „Naszej Mównicy” dyskusję, tyjącą się dzieci i matek nieślubnych.

Co do pierwszych, to w dzisiejszych czasach kwestja ta jest dostatecznie ustalona: nie można wieśać kowala dlatego, że cygan zawinił... Co dziecko winne, że matka urodziła je w nielegalnym związku?

Minęły te czasy, kiedy „bękartami” nazywano dzieci nieślubne i nazwa ta do grobu im towarzyszyła.

Dziś całą winę ponosi matka, i wobec społeczeństwa, naruszając prawa obowiązujące, i wobec dziecka, odbierając mu słodkie imię ojca.

Przyjdzie chwila, że dziecko zapyta: „A gdzie mój ojciec?”. Zawsze dostaje kłamiwą odpowiedź: „Umarł”.

Złośliwi ludzie czuwają... i w odpowiedniej chwili uświadomią, dlaczego ojca nie ma. Następuje dramat, albo odpowiednio wpojona przez matkę gloryfikacja jej czynu.

Od podstaw zatem, podkopuje się zasady etyki, obowiązującej w życiu każdego członka społeczeństwa, w celu samoobrony. Jaka przyszłość tak wychowywanej jednostki? Idzie w ślady matki... lub, co rzadziej się trafia, przeklina ją.

Dziwne mi się wydaje domaganie się specjalnego szacunku i uznania dla matek nieślubnych, dlatego, że urodziły dziecko i wychowują je, ponosząc konsekwencje swej nieopanowanej miłości, najczęściej jednak „interesownej”, bo w nadziei, że będą posłu-

bione. To żądanie szacunku śmiało nazwać można przesadą.

Wychodząc z humanitarnego założenia, pomoc od społeczeństwa należy się i dziecku i matce, ale prawa do szacunku przynależne są tylko matce ślubnej. Albo żyjemy w Polsce według praw obyczajowych i kościelnych, albo nie.

Poczucie sprawiedliwości nakazuje mi wyznać, że matkę nieślubną, która dziecka nie zmarnowała, urodziła i wychowuje, pod pręgierzem opinii publicznej, stawiam wyżej od ślubnej, która zabija powstałe już w łonie swoim życie, nie tracąc nic na opinii. Rozumiem słabość natury ludzkiej; bładzimy, upadamy, znów się podnosimy, więc można mieć wyrozumienie dla jednego upadku, dla jednego dziecka; mniej, jeżeli i drugie i trzecie przychodzi na świat, tworząc całą rodzinę nielegalną. Znam wypadek, gdzie matka (z ludu) miała sześcioro dzieci, każde z innego ojca... Sport? Nie, dobre utrzymanie, bo każdy płacił alimentu.

Francja otacza specjalną opieką matkę nieślubną, to zrozumiałe, z punktu widzenia grożącego wyludnienia. Polsce to nie grozi, jeżeli, jak wiadomo, przybywa rocznie pół miliona obywateli!

Nie mamy chyba potrzeby nadawać specjalnych praw moralnych matkom nieślubnym, w celu wpływania na większy przyrost ludności.

Natomiast należy przy wychowywaniu młodzieży zwrócić uwagę na opanowywanie uczuć zmysłowych, które mylnie są nieraz brane za miłość, gdyż i tu iść chcemy po linii najmniejszego oporu.

Tak, ekspiacją jest urodzenie i wychowanie dziecka nieślubnego, uznać musimy tę odwagę cywilną kobiety wobec całego świata; ale niech cicho pokutę swoją znosi, bez domagania się specjalnego szacunku za swój czyn.

Obmyślenie sposobów walki z prostytutką, tym rakiem, toczącym społeczeństwo, jest dziś wyjątkowo aktualne ze względu, iż akcja tej walki jest już przez kobiety zapoczątkowana. W walce tej nie należy eksperymentować... chwycić się półśrodków (o, jakże obosiecznych!), jak wolna miłość, ale środków radykalnych, to jest: wychowywać młodzież w poczuciu, że związek legalny (monogamia) jest jedyną formą życia płciowego.

Seweryna Dzięciołowska z Wejherowa.

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Wszystkie sprawunki załatwiam sama. Niektóre sprawy zwykłe załatwia numerowa (mieszkam w Domu akademickim).

2. Kupuję przeważnie stale u tych samych. Z typu ogłoszeń najmiarodajniejsze są obszerne cenniki i prospekty i byłoby pożądane dołączanie ich do numerów „Bluszczu”.

3. Różnice widzę w swetrach i wogóle trykotażach (więcej finezji), w perfumach i, niestety — owocach.

4. Mieszkam w Warszawie, więc naogół wybór jest dosyć znaczny. Brak dobrych wędlin litewskich, surowych szynk, i t. zw. „herbatniej” (dawniej „czajnej” kielbasy), pieczywa, które jest monotonne i niesmaczne. Skandaliczny brak t. zw. sera krajowego szwajcarskiego, który w Wilnie np. jest powszechnie używany, b. smaczny i kosztuje 4 i pół zł. kilo.

5. Żądania zgłaszam zawsze, ale widocznie dostawcy się z tem nie liczą.

6. Do wagi, opakowania i t. d. w znacznej mierze przyczyniają się żądania klientów.

7. Ogłoszenia czytam zawsze, o ile są poważnie i solidnie redagowane.

8. W „Bluszczu” chciałabym widzieć ogłoszenia o meblach (tylko nowoczesnych — pod kierunkiem artystów ostatniej doby), o ceramice, urządzeniach kuchennych, o książkach, o wystawach wewnątrz i t. p.

9. Mieszkam w stolicy.

10. UWAGI:

Skandaliczny jest u nas rozłam najnowszych zdobyczy sztuki stosowanej z fabrykatami wszelkiego rodzaju: desenie na materiały, szkło, porcelana, meble, tapety, dywany, zabawki itp. kierownikami artystycznymi fabryk i warsztatów są rutyniści i analfabeci, a publiczność kształci swój smak estetyczny na wskazówkach sklepikarzy z rozmaitych branż. Cała ich pomyślność polega na wycieczkach zagranicę i przywożeniu stamtąd obrzydliwości wszelkiego rodzaju. Bezład i wyrobiony gust publiczności tworzy błędne koło z temi cechami u fabrykantów i kupców. Najwyższy czas, aby odosobniony, zamknięty w sobie i głodujący klan absolwentów szkół sztuk pięknych i odnośnych, dobrze postawionych (przeważnie żeńskich) zawodowych objął kierownictwo artystyczne w naszym przemyśle, tembardziej, że w publiczności zaczynają budzić się zainteresowania w tym kierunku. Zaspakaja się je pseudo nowoczesną tandetą. Wszystkie pisma powinny otworzyć swoje łamy dla tych zagadnień.

Jako przykład niedołęstwa kupców, niech posłużą bezsensownie komponowane wystawy sklepowe (np. aleksandryjskie kryształ na lila gazie), gdy tymczasem oddanie tego w ręce fachowców wyszłoby na dobre kupcom i publiczności.

Lidze Samowystarczalności, która ma stosunki w sferach przemysłowych, należałoby gorąco polecić te sprawy.

Wanda Borudzka — Warszawa.

1. Wszystkie zakupy załatwiam sama, poważniejsze razem z mężem.

2. Staram się kupować stale w jednych sklepach dlatego, że się ze mną więcej liczą, jako ze stałą klientką, i mogę uzyskać kredyty.

3. Nasze krajowe towary są dobre, nie różnią się od zagranicznych, z wyjątkiem przyborów do haftu (szczególnie bawełny i jedwabiu). Zresztą nie mogę różniczkować towarów zagranicznych od krajowych, bo zawsze te ostatnie kupowałam i kupuję.

4. Mieszkam na Kresach w powiecie Kopyczyńskim. Wszystkiego tu można dostać, lecz w sklepach żydowskich. Brak kupców-polaków.

5. Raz zakupionych towarów nie reklamuję; gdy się oszukam, to w danej firmie więcej nie kupuję.

6. Naogół kupcy-żydzi grzeczniej traktują klientów, niż kupcy-polacy, lecz za to ci ostatni dają solidną wagę i estetyczniejsze opakowanie. Kupcy galicyjscy są grzeczniejsi od kupców w b. Kongresówce. Osobiście byłabym za sprzedawaniem mebli, urządzenia domowego w solidnych firmach, na dostępne raty.

7. Czytuję ogłoszenia w pismach, lecz nie korzystam z nich, ponieważ kilka razy się zawiodłam.

8. W „Bluszczu” chętnie bym widziała ogłoszenia firm blawatnych, spożywczych, urządzenia domowego, wogóle to, co potrzeba do codziennego życia, zwłaszcza drobne ogłoszenia kupna, sprzedaży.

10. Byłabym za tem, by towary zagraniczne były odróżniane od krajowych pewnymi znakami, ponieważ kupcy lubią wyczuwać słabość kupujących. Byłam sama świadkiem, że towar, który kupiłam, jako krajowy, był drugiej osobie zachwalany, jako zagraniczny.

I jak możnaby zaradzić temu, aby na Kresach było więcej kupców-polaków, bo nawet przedmioty monopolowe są w rękach żydowskich.

W. z Podola.